

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXIV Nr 9(277) Żelów, wrzesień 2019

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Ernesta Brylla, Jana Brzechwy, Mieczysława Buczkówny, Stanisława Grochowiaka, Jerzego Harasymowicza, Witolda Hulewicz, Zbigniewa Jerzyny, Magdaleny Kapuścińskiej, Janusza Orlikowskiego, Józefa Ozgi-Michalskiego, Juliana Przybosia, Kazimierza Spoucha, Juliana Tuwima, Tadeusza Uragacza, Kazimierza Wierzyńskiego, Adama Ziemińskiego
Andrzej Dębowski – *Barbarzyńcy Amerykanie i francuscy krzykacze*
Leszek Żuliński – *Nieblały pisarz* oraz wiersze Jarosława Błahego
Józef Baran – *Spadając, patrzeć w gwiazdy*
prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*
prof. Ignacy S. Fiut – *Detale miłości* oraz *Poezja inspirowana „hipotezą sawanny”*
Kazimierz Iwosze – *Głęboka ciemność złego snu*
Stefan Jurkowski – *Wesołe medykamenty*
Joanna Friedrich – *Dzień jak co dzień. Wakacje po polsku*
Henryk Gała – *Niewiersze*
Andrzej Walter – *Licencja na samego siebie*
Stanisław Stanik – *Jubielusz 25-lecia debiutu literackiego Izabeli Zubko*
Dariusz Pawlicki – *O naturze & wolności*
Jerzy Stasiewicz – *Rozdrożami (do) modlitwy malowanej trzciną* oraz *Rozdeptywanie krajobrazu*
Miroslaw Osowski – *Moja walka z rakiem (1)*
Andrzej Gnarowski – *Próba wyjścia z sekretnej raju*
Witryna
Opinie, Noty, Poglądy
Informacje, Kronika
Szkice, Eseje
Publicystyka
Felietony
Krytyka

Detale miłości

Problematyka miłości, o której już tyle napisano w dziejach ludzkości, znalazła ciekawe i oryginalne ujęcie w tomiku wierszy Ireny Kaczmarczyk – „intymnie”. Są to utwory osobiście liryczne, a ich przedmiotem są nie tylko kochankowie, ale właściwie cały nasz świat, w którym dzieje się miłość. Autorka dąży do bardzo detalicznego jej opisu, nawet na poziomie przysłowiowych „kwantów miłości”, pod działaniem których mimowolnie i nieustannie pozostajemy. Możemy sobie tego nawet nie uświadamiać, bo rozgrywa się ona w ludziach, pomiędzy nimi, ale i w ich świecie życia i bycia. Nie ma też wątpliwości, że mobilizuje to uczucie cały nasz aparat percepcji na wszystkich poziomach jego wrażliwości emocjonalnej, ale i intelektualnej.

Detale miłości są tu przez Kaczmarczyk postrzegane, dalej rozkładane na coś podobnego kwantom emocji, by wreszcie zostać złożonymi w unikatową całość, która bywa niekiedy niedomknięta. (...) – **pisze prof. Ignacy S. Fiut na stronie 17.**

Licencja na samego siebie

Kiedy zaczyna się dorosłość? Kiedy mierzymy miarą odpowiedzialności? A co to jest odpowiedzialność? Czy jest to świadomość konsekwencji swoich decyzji w życiu? Czy zdolność ich udźwignięcia? Czy też świadomość jak one wpływają na drugiego człowieka?

Co nas czeka kiedy przekraczamy progi dorosłości? I kiedy go dziś przekraczamy?...

Jak żyć? Dokąd iść? I po co? Nie pytamy już nawet z kim, bo staliśmy się niby samowystarczalni. Nie pytamy już dlaczego, bo przecież dobrze wiemy „dlaczego”. Nie mam innego wyjścia. Trzeba iść. Naprzód iść. Choćby i wbrew światu...

Chciałem dziś napisać o książce wyjątkowej... o „Licencji na dorosłość” Małgorzaty Karoliny Piekarskiej...

*Każdy człowiek jest jak taka fala. Wdziera się w drugiego człowieka jak woda w ląd i zawsze coś z niego zabiera ze sobą. Zabiera to coś na zawsze. Jednocześnie człowiek jest i falą, i sobą, czyli człowiekiem. Jest więc czasem tym, któremu coś się wydiera, i czasem tym, który sam coś komuś wydrze. To dlatego zetknięcie się z drugą osobą zawsze nas zmienia”. Te słowa Maćka wryły jej się w pamięć. Choć przecież wtedy, gdy słyszała je po raz pierwszy, nie myślała, że będą miały dla niej aż takie znaczenie. Jak się okazało, nie tylko dla niej. (...) – **pisze Andrzej Walter na stronach 3-4 i 13.***

O naturze & wolności

Czesław Miłosz nie miał do natury stosunku nabożnego, a nawet pozytywnego. Wielokrotnie podkreślał jej okrucieństwo. Uważał ją również za wrogą człowiekowi. I to zarówno ze względu na katastrofy zwane naturalnymi, jak też, na przykład, bakterie chorobotwórcze. Równocześnie dysponował rozległą, stale poszerzaną wiedzą na temat przyrody. I często o niej pisał: o tej litewskiej jak i amerykańskiej. Ale w jego twórczości nie stanowi ona tematu samego w sobie, jest jedynie tłem, scenariem jakiegoś zdarzenia bądź punktem wyjścia do snucia rozważań. (...) – **pisze Dariusz Pawlicki na stronach 8-9.**



©Fot. Andrzej D. bkowski

Informacje

100. rocznica Związku Literatów Polskich

14 maja 2020 roku upływa 100 lat od założenia z inicjatywy Stefana Żeromskiego podczas Zjazdu Literatów Polskich w Warszawie Związku Zawodowego Literatów Polskich.

Z tej okazji krakowski Oddział ZLP wraz z Ośrodkiem Badań nad Mediami Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie oraz Niepublicznym Instytutem Kształcenia Nauczycieli Wydawnictwa Edukacyjnego w Krakowie organizują Konferencję Naukową *100 lat Związku Literatów Polskich*.

Celem konferencji jest przypomnienie roli, jaką odegrał ZZLP (później ZLP) w trzech różnych okresach: w latach międzywojennych, w PRL oraz po 1989 r. Wśród tematów wystąpień planowane są np. następujące zagadnienia: *Stefan Żeromski jako pierwszy prezes ZZLP, Dom Literatów (Krupnicza 22) w Krakowie we wspomnieniach i literaturze, IV Zjazd Literatów Polskich w Szczecinie w 1949 r. i socrealizm, Prezura Jarosława Iwaszkiewicza* itp.

Komitet Organizacyjny: prof. dr hab. med. Anna Pituch-Noworolska (prezes Oddziału Krakowskiego ZLP), prof. zw. dr hab. Agnieszka Ogonowska (dyrektor Ośrodka Badań nad Mediami UP), prof. dr hab. Bolesław Faron (dyrektor Niepublicznego Instytutu Kształcenia Nauczycieli WE) – przewodniczący, dr Magdalena Stoch (adiunkt w Katedrze Mediów i Badań Kulturowych IFP UP) – sekretarz, mgr Agata Żuk (prezes Wydawnictwa Edukacyjnego) – sekretariat.

Zgłoszenia do udziału w konferencji należy składać: pocztą elektroniczną (azuk@we.pl), zwyczajną (Wydawnictwo Edukacyjne, 31-326 Kraków, ul. Wielkotyrnowska 35), telefonicznie (12 638-00-50) lub bezpośrednio na ręce Członków Komitetu Organizacyjnego do końca października 2019 roku.

Konferencja odbędzie się w maju 2020 roku w Uniwersytecie Pedagogicznym im. KEN w Krakowie, ul. Podchorążych 2. Przewiduje się 8 do 10 wystąpień.

Do czynnego udziału w tym przedsięwzięciu zapraszamy pracowników naukowych, pisarzy i poetów (bez względu na przynależność związkową) i wszystkich miłośników literatury.

Komitet Organizacyjny

Konkursy

XXXV Ogólnopolski Konkurs Literacki im. J.I. Kraszewskiego

Białskie Centrum Kultury im. Bogusława Kaczyńskiego w Białej Podlaskiej Klub Literacki „Maksyma” Muzeum J.I. Kraszewskiego w Romanowie ogłaszają XXXV Ogólnopolski Konkurs Literacki im. J.I. Kraszewskiego

1. Celem konkursu jest konfrontacja i upowszechnianie twórczości literackiej, a także

wiedzy na temat życia i twórczości Józefa Ignacego Kraszewskiego.

2. Konkurs ma charakter otwarty (mogą brać w nim udział amatorzy oraz członkowie profesjonalnych stowarzyszeń twórczych).

3. Konkurs rozgrywany jest w kategoriach poezji i prozy.

4. Przyznane zostaną następujące nagrody: a) I, II, III w obu kategoriach b) nagrody specjalne: • za tematykę podlaską • za utwór związany z twórczością i biografią J. I. Kraszewskiego • nagroda Klubu Literackiego „Maksyma” im. Wiesława Gromadzkiego

5. O podziale nagród zadecyduje jury konkursu.

6. Zgłaszane prace nie powinny być wcześniej publikowane i nagradzane w innych konkursach.

7. Nagrodzone utwory mogą być zamieszczone w publikacjach organizatorów i prasie, bez dodatkowego wynagrodzenia.

8. Prace konkursowe podpisane godłem należy nadesłać wyłącznie drogą mailową. a) praca konkursowa w formacie .doc, .rtf lub .pdf, b) w tytule wiadomości piszemy „XXXV Ogólnopolski Konkurs Literacki – praca konkursowa”, c) informacje o autorze: imię i nazwisko, telefon, dokładny adres korespondencyjny oraz adres mailowy, wysyłamy drogą pocztową na adres organizatora, opatrzone godłem autorskim (takim samym jak w przypadku pracy konkursowej); do informacji dołączamy także wypełnione oświadczenia uczestnika.

9. Jeden autor może przysłać maksymalnie 5. utworów poetyckich, lub maksymalnie 20. stron tekstu prozatorskiego, zamieszczonych pod jednym godłem/pseudonimem.

10. Autor może przysłać prace zamieszczone pod maksymalnie 3. różnymi godłami/pseudonimami, umieszczone w jednym mailu wg powyższych zasad.

11. Prace konkursowe należy wysłać do 15 września 2019 r. na adres mailowy: kraszewski@bck24.pl

12. Informacje o autorze należy wysłać na adres pocztowy: Białskie Centrum Kultury im. Bogusława Kaczyńskiego ul. Warszawska 11 21-500 Biała Podlaska z dopiskiem Konkurs im. J.I. Kraszewskiego

13. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 26 października 2019 r. podczas finału XXXV Podlaskich Spotkań Literackich. Laureaci zostaną poinformowani o nagrodach telefonicznie lub mailowo.

14. Prace nie spełniające wymagań regulaminowych nie będą uwzględniane w konkursie.

15. Dodatkowe informacje o konkursie można uzyskać pod numerem tel.: 83 341 67 22 oraz na Facebooku: Podlaskie Spotkania Literackie.



Niewiersze Henryka Gały Chaos

Znam go, tylko skąd i kto to jest.

Staliśmy na przystanku z kilkoma czekającymi.

On też zerknął na mnie.

Autobus miałem za cztery minuty.

To był ktoś z mojej pierwszej pracy?

Tak, nawet pamiętam imię, a to mi się nie zdarza. Patrzył na mnie, jakby właśnie przypomnieli sobie, że się znamy.

Chcieliśmy podejść do siebie, ale nadjechał jego autobus.

Zwracając się do siebie jednocześnie spytaliśmy – Jacek??

Nie – odpowiedziałem - Heniek. Głośno tak, że kilka osób popatrzyło na mnie.

A ja Włodek, zawołał, kiedy zasuwały się drzwi.

Zanim podjechało moje 509, zdążyłem pomyśleć, że przez kilka chwil byliśmy znajomymi, kolegami, może nawet przyjaciółmi.

Przejechałem kilka przystanków zanim przyszło mi do głowy - Jak to możliwe, że dwaj mężczyźni przypominają sobie nawzajem jedną osobę, Jacka. I każdy z nich jest dla drugiego tym Jackiem.

A może w rzeczywistości się nie znamy. I nie zaliśmy.

Więc, czy to jest jednomyslność, pozorna zgodność?

To chaos. Kiedy jakiegokolwiek prawa nie sięgają naszego momentalniejsza czyli czasoprzestrzeni zjawia się on.

Chaos? Przecież nie ma żadnej postaci.

Czyli co? Przypadek.

Nie, to nie był przypadek. Tak często tłumaczymy naszą ignorancję. Tutaj objawił się chaos.

A to, że zapomniałem numeru mieszkania przyjaciela, do którego jechałem i znowu nie byłem pewien jaką liczbę wywołać w domofonie, to zwykła blokada pamięci. Mojej, nie komórki, którą na szczęście miałem przy sobie.



Rys. Barbara Medajska

Andrzej Walter

Licencja na samego siebie

Kiedy zaczyna się dorosłość? Kiedy mierzymy miarą odpowiedzialności? A co to jest odpowiedzialność? Czy jest to świadomość konsekwencji swoich decyzji w życiu? Czy zdolność ich udźwignięcia? Czy też świadomość jak one wpływają na drugiego człowieka?

Co nas czeka kiedy przekraczamy progi dorosłości? I kiedy go dziś przekraczamy?...

Jak żyć? Dokąd iść? I po co? Nie pytamy już nawet z kim, bo staliśmy się niby samowystarczalni. Nie pytamy już dlaczego, bo przecież dobrze wiemy „dlaczego”. Nie mam innego wyjścia. Trzeba iść. Naprzód iść. Choćby i wbrew światu...

Chciałem dziś napisać o książce wyjątkowej... o „Licencji na dorosłość” **Małgorzaty Karoliny Piekarskiej**...

Każdy człowiek jest jak taka fala. Wdziera się w drugiego człowieka jak woda w ląd i zawsze coś z niego zabiera ze sobą. Zabiera to coś na zawsze. Jednocześnie człowiek jest i falą, i sobą, czyli człowiekiem. Jest więc czasem tym, któremu coś się wydiera, i czasem tym, który sam coś komuś wydrze. To dlatego zetknięcie się z drugą osobą zawsze nas zmienia”. Te słowa Maćka wryły jej się w pamięć. Choć przecież wtedy, gdy słyszała je po raz pierwszy, nie myślała, że będą miały dla niej aż takie znaczenie. Jak się okazało, nie tylko dla niej. (...)

fragment powieści

Najpierw była idea, potem był... trybik w maszynie, a dziś jest bezwzględna samorealizacja, fetysz współczesności zadany mimochodem w ramach potwora edukacji oraz hodowli człowieka *postprzemysłowego*. Jak w takim świecie ma się odnaleźć niewinna i naiwna młodość i czy nadal jeszcze pozostała ona takąż właśnie: niewinną i naiwną? Czy zadajemy jeszcze te kłopotliwe dla świata pytania i czy drążymy jeszcze te dojmującą współczesność? Czy jedynie może usiłujemy się wpisać, wpasować i dostosować? Czy udaje nam się przypodobać temu światu i znaleźć w nim adekwatne miejsce? Czy potrafimy jeszcze... kochać, szarżować i... czuć?

Małgorzata Karolina Piekarska podjęła się wyczynu niemożliwego. Podjęła się napisania książek dla najmłodszych, młodych i tych... przełamujących fale dorosłości. (Bo zauważmy, że „Licencja na dorosłość” to ostatnia część trylogii: „Klasa pani Czajki”; „LO-teria” i właśnie ostatnia pozycja „Licencja na dorosłość”).

Małgorzata Karolina Piekarska podjęła się tego w czasach barbarzyńców, w czasach nieczytelnych, w czasach, w których książka straciła swój nimb przewodniczki narodów, straciła swoją sprawczą moc i swoją niepowtarzalną magię nauczycielki życia. W czasach, w których książka stała się zbędnym balastem dla mniej przystosowanych.

Małgosia podjęła się tego i wyszła z tej

próby zwycięsko. Ba, to mało powiedziane. Wyszła ewidentnie z tarczą. Ujarzmiła swoje Termopile i napisała książki tak wyjątkowe, niepowtarzalne i nietuzinkowe. Książki (!!! sic) nie pozwalające na obojętność i nie pozwalające na brak zaangażowania emocjonalnego. Bardzo zaprzyjaźniłem się z tą lekturą. Wchodziłem w nią jednak dość długo, bardzo powoli, spokojnie i dość opornie. Różnica czasów, może wyzwania i doświadczeń, albo i różnica perspektyw, różnica widzenia i postrzegania świata, hierarchii i systemów wartości, mentalności, nawet marzeń... a może nawet nie, nie wiem, może to po prostu stan ducha. Mojego ducha. Mojego etapu życia?

Małgosia napisała książkę niesamowitą. Musiała, aby ją napisać, wykonać gigantyczną pracę poznawczą, setki rozmów, spotkań, a co bezzecenne – wykształtowania w sobie tej niesłychanej i dalece empatycznej umiejętności wejścia w skórę i duszę współczesnych młodych ludzi u progu tak zwanej dorosłości.

Wyszło Jej to genialnie. *Tak zwanej dorosłości*, gdyż i ten aspekt życia ta książka porusza i odytka. Kiedy i czym zaczyna się ta mityczna dorosłość? To wyjątkowa lektura, która stawia nam tak wiele pytań, że aż nie mogą się one w sposób prosty i poukładany pomieścić w naszych głowach i scalić w jakąś rozpoznawalną całość. Ich rozproszenie nadaje naszym poszukiwaniom głębszy sens i wciąga nas w opowiedziane historie, w przedstawione sytuacje i scenki obyczajowo-życiowe stawiając nas niejednokrotnie wobec scen już jakby gdzieś widzianych, jakoś tam rozpoznanych, odkodowanych, ale jakby w innym wymiarze, z innej, nowej perspektywie, przy dodatkowych okolicznościach, sami zaczynamy zastanawiać się jak my byśmy się tu zachowali, jak postąpili i co wybrali...

Zawsze bowiem możesz pójść w lewo, albo w prawo, wybrać dobro, albo zło, wybrać bliźniego, bądź... wybrać siebie, wybrać słabszego, albo postawić na silniejszego... problem w tym, że dożyliśmy czasów, kiedy te wybory, dylematy i rozterki są: zamglone, zdeformowane, zrelatywizowane i zaciemnione współczesnością, która tak wiele stawia na głowie i na odwrót, i która proponuje nowe systemy hierarchii i wartości, która mami postępek i nowoczesnością w miejsce tradycji czy tożsamości, która wreszcie fałszuje tolerancją – słowem – wytrychem współczesności.

I nagle dochodzimy do konstatacji, że powieść Małgorzaty Piekarskiej wcale nie jest tylko dla młodych, a jest tak naprawdę dla nas wszystkich, choć faktycznie jeśli młodzi tylko chcieliby ją czytać, zgłębiać i rozważać – byłoby świetnie. Zwłaszcza dla nich samych. Małgosia bowiem napisała książkę klucza. Książkę, która w gąszczu pytań podsuwa właściwe odpowiedzi. Nie nachal-

nie, nie stanowczo, delikatnie, kobieco, podsuwa po prostu dobre drogowskazy, dyskretnie sugeruje, który z wyborów jest bardziej oczywisty, która droga prowadzi do większej głębi i do głębszego... sensu. Sensu: życia, świata i samego siebie. Taka ot recepta... na licencję.

I możemy znów zapytać. *Ile masz lat? Kto może w twarz rzucić ci... drań?* Tak, kochani, to była piosenka z lat mojej młodości. Urszula wraz z Budką Suflera zadała nam kiedyś (ba, ponad 30 lat temu) takie niedyskretne pytanie. Pytanie, które ja sobie zadaję do dziś i najprawdopodobniej, dopóki mam i używam wciąż swojego sumienia, takie pytanie będzie mnie zapewne dręczyć już do samego końca.

Nie ulega też wątpliwości, że ta książka jest zwierciadłem, w którym możemy rozpoznać samych siebie sprzed dwudziestu, trzydziestu bądź czterdziestu lat, w którym możemy odnaleźć paralełę istoty naszego przepoczwarczenia się z dzieci w dorosłych, w którym wreszcie doszukamy się jaskrawo przedstawionych zmian dziejowych, kulturowych czy społecznych – istotnych i diametralnych, wręcz totalnych zmian, które jednakowoż wcale nie zmieniają istoty tych odwiecznych pytań czy dylematów: kim jestem, dokąd zmierzam, co chcę w życiu robić, jak się spełniać i jak ułożyć swoje relacje z tym światem, z ludźmi dookoła, z bliskimi i z tymi dalszymi, a nawet z losem, z przeznaczeniem i ze swoją duszą zanurzoną zawsze we współczesność jakąkolwiek by nie była. I pytanie zasadnicze: czy odnalazłem już tę mądrość, odpowiedzialność i prawdziwy sens stawiania się człowiekiem, który już wie po co właściwie jest... to wszystko.

To naprawdę było niełatwe wyzwanie. Małgorzata Karolina Piekarska nie tyle, że wyszła z tej jakże ważnej próby ognia zwycięsko, lecz możemy wręcz powiedzieć, iż napisała książkę – „Licencję na dorosłość” – doprawdy fenomenalną. Książkę, która dotyka bardzo głęboko i wnikliwie całego uniwersum dojrzwania we współczesnym świecie. Nie ogłoszę tu, że odnalazła wszystkie prawdy, że udzieliła odpowiedzi na wszystkie pytania, że pokazała każdy aspekt młodości i dojrzałości, ale zrobiła coś o wiele ważniejszego – skumulowała możliwe i hipotetyczne stany, postawy i stanowiska wobec wybrków losu, wobec meandrów życia i wobec tego, co po prostu nas spotyka czy spotykało. Teraz i w przeszłości, a pewnie i jutro i pojutrze i dalej w przyszłości. Stworzyła Małgosia literacki pejzaż jakże ważnego etapu w życiu każdego człowieka jakim jest okres wchodzenia w dorosłość, właśnie przysłowiowe zdobycie nań licencji, otrzymanie zielonego światła na przeżywa-

(Dokończenie na stronie 4)

Licencja na samego siebie

(Dokończenie ze strony 3)

nie prawdziwego życia, które dzieje się realnie z nagrodami i konsekwencjami własnych wyborów, z całym wachlarzem stanów, uczuć, szalonych emocji – z wielką ilością dyematów, rozterek i niespełnionych snów.

Trzeba też nadmienić o sprawie najistotniejszej. Książka ta znakomicie oddaje atmosferę czasów, ich charakterystykę, ducha, ich niepowtarzalne tętno, które odciska się na nas swym szaleńczym piętnem, swą wirtualnością, nowością i czymś czego jeszcze nie było.

Książka „Licencja na dorosłość” to jedna z najważniejszych lektur obowiązkowych dla dzisiejszych maturzystów, ale i dla nas, dojrzałych już przedstawicieli pokoleń, jak to ująłem na wstępie, postprzemysłowych, postmodernistycznych czy jak tam zechcecie je nazwać w tym coraz bardziej zwiariowanym świecie. Dziś przecież coraz trudniej być zarówno młodym jak i starym. Coraz trudniej otóż w dzisiejszym świecie pozostać po prostu człowiekiem.

Jest to jednocześnie jedna z najciekawszych książek jakie czytałem, że ujmę to bardzo przewrotnie w tym segmencie rynku, który być może mało elegancko określamy mianem literatury młodzieżowej. Jeszcze nie tak dawno literacy fachowcy rozpisywali się, że segment ten przeżywa spory kryzys treściowo-poznawczy czy też ujmując rzecz inaczej ciężko ten gatunek literatury wypełnić niegdysiejszymi talentami pokroju: Niziurskiego, Bałdaję czy Domagalikę albo Siesickiej.

Na tym tle Małgorzata Karolina Piekarska śmiało „Licencją na dorosłość” wkroczyła na ścieżkę ewidentnego dołączenia do wymienionego Panteonu wielkich twórców literatury tak zwanej młodzieżowej. Oczywiście z pełnym zastrzeżeniem różnic: wieku, etapu twórczości, dorobku i całej swojej, że tak to ujmę „przyszłości literackiej”. Jednak jakość tej książki, jej potencjał i nie bójmy się tego powiedzieć – wartość merytoryczno-poznawczą są przecież ogromne – w tej właśnie warstwie dorównująca mistrzom. Zapewne nie stanie się ona taką legendą w jaką swego czasu przeistoczył się „Sposób na Alcybiadesa” Edmunda Niziurskiego, ale przyczyn tego stanu rzeczy należy dopatrywać się raczej w randze i pozycji literatury jako takiej (w ogóle we współczesnym świecie) w zespoleniu z duchem tych właśnie czasów, które są po prostu: mniej zabawne, bardziej poważne, policzalne, merkantylne i nacechowane generalnie zupełnie odmiennym charakterem współczesnej szkoły, młodzieży oraz całego kontekstu młodości jako takiej.

Najzwyczajniej – dziś nie da się napisać takiej powieści jak „Sposób na Alcybiadesa” ponieważ nie ma już takich profesorów Misiaków, nauczycieli z poprzednich epok, epok dawno minionych, które nie powrócą.

Nie ma już takich Alcybiadesów, ale i nie ma takich uczniów, młodych ludzi, rwących jak szarańcza do szaleńczego przeżywania świata w zupełnie inny sposób niż obecna młodzież – kunktatorska, znająca range edukacji oraz pełną jej efektywność wyrażoną późniejszą pozycją społeczną czy wręcz siłą rynkową tej pozycji. Może to i smutne, lecz jak udowodniła Małgosia nie umniejsza powadze opisaną współczesnej młodzieży, ich człowieczeństwa, potrzeb i uczuć czy emocji w pewnym sensie takich samych jak dawniej i tak samo silnych jak zawsze.

Człowiek w swej naturze wcale się nie zmienił, za to dramatycznie zmieniły się okoliczności, czy tego chcemy czy nie. Świat jest dziś tak dalece inny, że ... strach się bać. Przeszłość niniejszym stała się księgą nieodwracalnie zamkniętą i w pełni zakończoną. Bezpowrotnie. Nie wskrzesimy tamtej atmosfery, tamtych talentów, twórców i ludzi, którzy tworzyli ówczesną rzeczywistość. Musimy raczej wypatrywać nowych liderów pisarskiego rzemiosła i nowego wyrazu czy nowego wydzwiku literatury jako sztuki, a zwłaszcza sztuki wpisanej w popkulturową, dalece rozrywkową rzeczywistość współczesności. Pisałem już o tym wielokrotnie – zakończył się czas „ciężkich Norwidów”, stutonowych wieszczów, epickich baronów roztańczających skutecznie działające wizje realności i mających faktyczny wpływ na jednostki i masy.

Współczesna literatura przestała zmieniać świat. Współczesna literatura rewolucyjnie wręcz zmieniła swoją rolę. Współczesna literatura zaczęła stanowić jedną z ofert artystycznej rozrywki na równi z rozrywkami innymi: kontemplowaniem malarstwa, czy fotografii, filmu, dobrego kabaretu czy piosenki. Koncert Quennów może mieć przecież zbliżony potencjał artystyczny. Instalacja Katarzyny Kozyry też jest sztuką... dajmy na to taka... *piramida zwierząt* – współczesna rzeźba-instalacja wykonana w 1993 roku przez Katarzynę Kozyrę, artystkę reprezentującą nurt krytyczny w polskiej sztuce najnowszej... Choćby tylko krytycy sztuki współczesnej nam to narzucili ciężko dyskutować z faktami.

Literaturze pozostała wielkość kształtowania bogatej wyobraźni, funkcja dalece poznawcza oraz wielkość jej intymności doświadczania. To nadal bardzo wiele i wydaje się wystarczająco do przetrwania literatury jako takiej przy tendencji zwiększającego się zanikania wręcz wszelkiego czytelnictwa. Dlatego właśnie uważam takie książki jak „Licencja na dorosłość” za książki bardzo, bardzo ważne.

Siłą tej książki jest bowiem naturalna siła warsztatu autorskiego Małgorzaty Karoliny Piekarskiej. Świetny język, wartka akcja, unikalne i atrakcyjne naszkicowanie rysów uczuciowo-emocjonalnych głównych postaci, ich wyrazistość i prawdziwość... wszystko to powoduje, że trudno się od tej lektury odebrać i czyta się nawet wtedy, kiedy drażnią inne okoliczności, sytuacje i konteksty. Choć to jednak bardzo rzadkie. Ta książka wciąga, czytelnik powoli i stopniowo się z nią zaprzyjaźnia, wciąga się dosyć głęboko w te wszystkie przywołane rozterki i sprawy

głównych postaci, a przy tym nie zbliża do nich na tyle, aby stać się czytelnikiem bezkrytycznym. Słowem – autorka panuje nad proporcjami opisu i poznania postaci, wobec kreowania problemów współczesności, które są jakby podskórnie owym najważniejszym testem na przywoływaną od początku tego tekstu ... dorosłość. Licencja na dorosłość jest bowiem czymś w dzisiejszych czasach tak wielce skomplikowanym, że jej opisanie i przedstawienie wydaje się w zasadzie niemożliwe. No właśnie. Licencja na dorosłość rozpoczyna się od uzyskania licencji na samego siebie. Na poznanie kim się jest i dokąd się zmierza. Na prawdzie jakie do słowne wartości się wyznaje i czy są to te wartości, które stawiają nas ponad wszelkimi: podziałami, konfliktami i samolubnym parciem naprzód tak modnym obecnie wśród medialnych elit tego świata.

Czy książka Małgorzaty Karoliny Piekarskiej powstrzyma współczesność przed degradacją człowieka XXI wieku, czy jakoś tam uratuje młodych i młodą naiwność z niewinnością, czy wyciągnie ich wszystkich, wkraczających w dorosłość i nas od dawna w tej dojmującej dorosłości tkwiących z bagna wirtualnej społecznościowej rzeczywistości w świat dawno minionych ideałów literackich jako wzorców zachowań, postaw czy świadectw? Nie ma na to szans, ale i ta książka takich ambicji raczej nie ma. Ta książka to doskonale realizowana próba bycia swojego rodzaju hospicjum młodości myślącej i czującej, nacechowanej oglądą i umiarkowaniem, nacechowanej poszukiwaniem złotego środka na swój jakże własny, zdecydowanie autonomiczny los wobec ohydy współczesności w miksturze ze złudzeniem plastikowej realizacji wymyślanych marzeń. „Licencja na dorosłość” to idealna próba zrozumienia współczesnej młodości, pozytywnego i dającego nadzieję nań spojrzenia, pochylecia się nad jej wyzwaniem i trudami, nad jej realiami i metodami wybrnięcia z pętli życia nowego wieku, który zadaje nam czasami nad wyraz trudne zadania.

Właściwie nie chciałem Was namawiać do lektury, nie chciałem dokonywać jakiejś literackiej analizy, jakichś peanów wypisywać nadaremnych poza jednym krótkim zdaniem – **warto tę książkę przeczytać**. Jest dobra. Bardzo dobra. I bardzo prawdziwa. Ma momenty kiedy irytuje, ma takie swoje słabsze momenty i owszem... nie jest przecież książką idealną. Jest jednak książką dalece niepowtarzalną. Pod koniec dwóch dekad nowego wieku doczekaliśmy się w końcu książki najlepiej opisującej w sposób prawie pełny współczesną młodzież, młodość i jej wybranych, acz reprezentatywnych przedstawicieli. Opisującej ich i ... jak najbardziej również i nas w zwierciadle ich dusz. Brawo Małgosiu.

Na koniec kilka słów jak najintymniej. Ta książka zmusiła mnie do wielu refleksji. Odczułem jej bezpośredni wpływ na swoje życie. To wpływ nieudowodnialny, to wpływ promieniotwórczy, dalece niedefiniowalny. Nie padły żadne ważne słowa, nie podjąłem żadnej przełomowej decyzji, nic właściwie

(Dokończenie na stronie 13)

Mniej Więcej (175)



Foto: Zofia Mikula

Niebłahy pisarz

Rzeźnik z Niebuszewa to tytuł tej książki. Frapujący, przynajmniej. Ale najpierw słowo o Autorze: *Jarosław Błahy (ur. 1966 r. w Szczecinie) – prozaik, eseista, instruktor teatralny (...). Współautor kilku książek oraz autor eseju „Literatura jako lustro. O projekcji i odbiciach fizjologicznych w twórczości Leo Lipskiego”. (...) Był wokalistą grup punk rockowych... To tyle w skrócie... Jak widzicie, postać nieszablona (co zresztą w jego tekstach jest bardzo widoczne).*

Leszek Żuliński

Nie wiem jak tę książkę nazwać... Chyba tak: to „książka hybrydowa”, bowiem jest tu sporo prozy i trochę poezji (dziewięć wierszy). I od tych wierszy rozpocznę referować swoje wrażenia...

Oto wiersz pt. *Nieczynny: Bóg jest przy-stojny / Leży rozpostarty na podłodze / Bawią się nim dzieci / Dorośli tłuk kieliszki / Drepczą emeryci i renciści // Świat jest samotny / Debile trzepią dywany / Choć czasem mąż włączy odkurzacz / Myśląc że perfekcyjnie // On jest nieczynny / Niczym kwitnące szambo / Wahadłowiec w stanie nieważkości / Który zderzył się z sedesem // Ona czeka jak rozbita szklanka / Na zwinięcie w jeden centymetr szczęśliwny dywanu / Stan skupienia i rozluźnienia / Tak charakterystyczny / Dla jego ramion.*

Ot, ładna scenka o „wyleniałym małżeństwie” – dużo realu i sporo spleenu. Bo Błahy stąpa twardo po ziemi, jego reizm rzuca się w oczy. Ale zauważcie jak wiele w tym wierszu prawdy o przyziemnej codzienności.

A teraz przejdźmy do zasadniczej części tej książki. Zaczyna się ona ponuro, przypominając, że w Szczecinie przy ulicy Kaszubskiej była Cela Śmierci, w której wieszano kryminalistów, ale tam też mordowano żołnierzy AK i WIN. Lecz jeszcze na początku lat 50-tych działy się tam rzeczy straszne.

A kim był ten tytułowy rzeźnik z Niebuszewa (Niebuszew to dzielnica Szczecina)? No, psychopatycznym, choć niepospolitym zbrodniarzem.

Więc teraz większy cytat na temat tego paranoika: *11 września 1952 roku milicjanci poszukujący 20-letniej Ireny Jarosz trafiają w kamienicy przy ul. Wilsona do mieszkania na parterze (dziś to Niemierzyńska 7) w dzielnicy Niebuszewo. Zamieszkiwał tam Joseph Zippeck, którego zjawę spostrzegłem pewnej nocy pod latarnią w Niebuszewie. Jeden z funkcjonariuszy MO napisał w swoim notatniku, co następuje: „W pokoju na kanapie leżą zwłoki kobiety z odciętą głową, rękami i nogami. Ręce i jedno udo przy szafie. Na półce, przy kaflowej kuchni miska wypełniona czerną ciecżą. Obok maszyna do mielenia mięsa ze śladami mielenia. Na talerzach serce i wątroba ludzka...*

Zaoszczędzę wam dalszych szczegółów. Powiem tylko, że ten psychopata mordował, aby robić wędliny na sprzedaż.

No, na szczęście nie cała książka Błahego sprowadza się do makabresek. Mnie bardzo spodobał się rozdziałik pt. *Zefir*, którego bohaterem jest ośmioletni Karol. Tenże Karol miał dziadka na wsi, a w jego domu, w pokoju na parterze, rezydował sobie świniaczek imieniem Edward. Dziadek dał wnukowi Edwarda w prezencie. Cudny był to osobnik, sympatyczny, więc ukochany.



Oto fragmencik o świniaczku Edziu: *W okresie dojrzewania Edzia przyszedł czas na miłość. Jego dziewczyną została wyheblowana deska, którą z wyrazem jak największej czułości w świńskich oczkach, popychał nogą, posuwał po podwórku, lubieżnie niczym Asmodeusz dotykał ryjem, całował, zostawiając na niej ślady błota i pokarmu w kształcie gniazdzka elektrycznego, tudzież muskał i smyrał zaczerwienioną, zaróżowioną końcówką penisa, odpowiednikiem żółędzi, zostawiając na desce trwałe odór nasienia trzody chlewnej. Taki był nasz Adonis, nasz Asmodek, Asmrodek, jak mawiała o nim niegdyś otrząskana czytelniczo babcia Melania. Była to wielka miłość, że tak się wyrażę dozgonna, rozważna i romantyczna...*

Jak widać Jarosław Błahy ma wiele do opowiedzenia i napisania. No i osobliwą wyobraźnię. Ta książka jest wielotematyczna, a wszystko, co w niej napisane dowodzi nie tylko talentu, ale i wiedzy, i znajomości, i pomysłowości. „Szczecińskość” tej książki

jest cenna. Zapamiętajcie nazwisko autora. Tak, ten Błahy to postać niebłaha; ciekaw jestem jego kolejnych książek.

Jarosław Błahy, *Rzeźnik z Niebuszewa*, Wydawnictwo Forma, Szczecin 2019, s. 98.



Jarosław Błahy

Relatywizm pochyłego drzewa

Od pewnego czasu cierpię na bezsenność
Wróciła do mnie jako dobra stara babka
Ktoś w nocy chodzi po pokoju
Strąca na głowę papugi
Korale skaczą po biurku
Bogowie chleją denaturat
Kończą się papierosy
Dotykam jej piersi opuszkami palców
Żeby nie uszkodzić snu
Całuję jej czoło
Myśląc o pochyłym metamorfozie Drzewa
Na które nawet Salomon nie naleje

Kołysanka dla Dostojewskiego

Był taki jeden
Tańczący w mroku epileptyk
Któremu zabawa łyżeczką nie wyszła na
zdrowie

On ukradł Stońce
Choć nie był Mrówką Faraona
I nie mieszkał w wieżowcu
Niebosiężnym drapaczku chmur
A jednak udało mu się
Porozmawiać o Śmierci
Ze wszystkimi Demonami świata tego



Wiersze o Wrześniu '39

Kazimierz Wierzyński

Święty Boże

Święty Boże,
Święty Boże,
Święty a Nieśmiertelny!
Błogosław naszej broni;
Gdy ją przyłoży
Piechur do skroni,
Niech trafia najcelniej!

Święty Boże,
Wszechmocny a Tajemny,
Który jesteś w niebie!
Niech żaden pocisk
I żaden wystrzał
Nie padnie daremny
W okrutnej potrzebie.

Święty Boże,
O sprawiedliwą bijemy się rzecz:
O naszą wolną wolę,
O naszą ziemię i morze;
Pobłogosław nasz miecz.
O polskie kości naWawelu,
O cmentarze ojcowskie,
Na których znak Twój świeci,
O lata przeszłe i przyszłe,
O nasze góry, o Wisłę,
O nasze żony i dzieci,
O dole daleką i bliską,
O prawa ludzkie i boskie,
O wszystko.

Święty Boże,
Święty Mocny,
Święty a Nieśmiertelny!
Błogosław odważnym i dzielnym,
Błogosław naszej wojnie,
Błogosław naszym wojskom
I naszemu męstwu!
Usłysz nasze wołanie,
Który jesteś z nami,
Wszechmogący Panie,
Daj nam zwycięstwo.

Józef Ozga-Michalski

Westerplatte

Jeszcze tam morze się broni,
bryzga polska piana o brzeg;
za tej ręki podniesionej grzech
jeszcze raz żelazem po nich.
Jeszcze broni się Westerplatte,
kto tu przyjął na siebie winę,
ten otrzyma do krwi ostatniej
swą zapłatę z ruin – w Berlinie.

Zbigniew Jerzyna

* * *

Twarzy ich nie widziałem. Chyba zwykłe
twarze.

Zostali. Mieli w oczach nieba krwawe znaki,
spiekłą ziemię, ojczyzny obraz prawie senny,
zarys wojny niejasny – morza brzeg
trumienny.

Zostali. Przez niebo pełzła czarna chmura
coraz większa. W ciemności siebie dotykali
sprawdzając, czy są żywi?

Trwali na małym cyplu Westerplatte.
Jaki nakaz ich trzymał?

Mogli odejść i przeżyć. W śmierć nie patrzeć
– w morze.

Młodości nie ubierać w pocisku koronę.
Nie ginąć w majestacie – nie zastygać
w pozie.

Bałtyk ich ciemną piersią zakrył – wziął
w obronę.

Jan Brzechwa

* * *

Nic to, nic, że bandyckie hordy
Opasały stolicę naszą,
Bo pożary, rzezie i mordy
Nie zastraszą nas. Nie zastraszą!

Nie boimy się. Nie boimy!
My walczymy o Wolność naszą!
Nie zastraszą nas krwawe dymy,
Wściekle zbiry nas nie zastraszą.

Uderzajmy celnie w mordercę,
Niechaj spływa krew jego gęsta,
Niech ugodzi go w samo serce
Nasza wściekłość i gniew, i zemsta.

Julian Tuwim

Lekcja

Ucz się, dziecko, polskiej mowy;
To przed domem – to są groby,
Małe groby, wielki cmentarz,
Taki jest twój elementarz.

Ustawyły się w szeregu
Czarne krzyże w brudnym śniegu,
Na Warszawie mrok żałobny,
Ucz się pięknej polskiej mowy.

Tańczy wicher ze śnieżycą,
Tańczy upiór z upiorzycą,
Piszczą małe upiorzeta...
Zapamiętasz? Zapamiętam.

W nocy przez sen gniewnie krzyczysz,
Straszne ptaki w niebie liczysz,
Rano – w ziemi rozoranej
Szukasz piąstki oderwanej.

Ucz się gruzów, ruin ucz się,
Z upiorami siądz przy uczcie,
W świat potężny, w świat plugawy
Pieśń warszawskich dzieci zawyjl!

Witold Hulewicz

Mogiła na skwerze

Nogą można potrącić, tuż obok rynsztoka
w biednych kwiatach i hełmu stalowym
rynsztunku.
Krzywy napis: „Nieznany” i z błota powłoka,
i słowa twardej chwały: „Padł na
posterunku”.

Jemu się należy najszczęśliwszy z pacierzy,
co umierając szeptał: Warszawy nie damy!
Grób na skwerze ulicznym, krzyż z okiennej
ramy...
Taka mała mogiłka, a w niej wielkość leży!

Julian Przyboś

Póki my żyjemy

Huk armat na wysokość łun
wzrósł,
niebo wali się z trzaskiem.
Bezbronny, wbity pociskami w grunt,
błagam o karabin, jak skazaniec o łaskę,
i tylko krzyczę – niecelnie,
z rannych i martwych wstawszy.
Mój wzrok po torach bomb strącony w gruz
przypada do Warszawy.
Aż w rozpękły na dwoje słuch
płacz mężczyzn wpadł – i ich, jak nabój,
milczenie.

W tej chwili zginął mój brat.

Żegnaj was, unoszący za granicę głowy,
uciekający do broni,
gdy tu, w rozwalonym schronie,
z jeszcze żywych ostatniego tchu
odtworzyłbym nasz hymn narodowy.

Mieczysława Buczkówna

Jak w piosence

Kiedy mój ojciec szedł na wojnę
Pamiętam – śmiało błyszczały
Guziki w jego mundurze
Kule nie będą się mnie imać –
Śmiał się – pamiętam – przedtem

W legionach ranny pod Beresteczkiem
Medal krzyże miał... Virtuti
Pamiętam – niebieską wstążeczkę

Kiedy mój ojciec szedł na wojnę
Wyglancowane buty
W słońcu wesoło błyszcząły
Pamiętam – długośmy się nie żegnali

A potem ranny hełm pamiętam
Krzyże w sosnowym lasku
Na siwych piaskach polowy cmentarz
I hełm bez rzemiennych pasków

Stanisław Grochowiak

Totentanz in Polen (fragment)

Jeden z nich upadł Minęli go Poszli
Ich serca cierpkie jak ta cała ziemia
To ty – mój chłopcze – musisz wznieść
karabin
Posłać mu w czoło kulę miłosierną

Mój biedny chłopcze – gdzieś się zabłąkał
Jakże ocalisz kwiat swego dziewictwa
Gdy miłosierdzie zażąda od ciebie
Byś krew upuszczając Szyjom wiązał stryczki

O mój szlachetny dobrotliwy Niemcze
Gdy wrócisz z wojny – jakie na pianinie
Położysz palce – i jakie ty czoło
Nastawisz ustom kochanki spragnionej

Jerzy Harasymowicz

Batalion (fragment)

Z całego Tatki batalionu
Z pochodnią nocy hucul przybył
I orła przyniósł z pogiętą koroną
Na stół wysypał trochę krzyży

Pan major kazał to zachować
Przeprasza że sam nie przyjechał
I czarne z dymu nagryzmolił słowa
I na tej kartce batalion nie śpiewa

Pan major dobry człowiek
Za święte uznał huculów modlitwy
I tak jak teraz ja spieszenie do domu
My na bagnety na Niemców szliśmy

Pan major dobry człowiek
W cerkwi mówił też Bóg prawdziwy
Nie jechał na koniu swoim
Na koniu ranne jechały ludyny

I szedł przy biednej szkapie
Tak samo ranny jak i wszyscy
I nie wiadomo co więcej leżało
Żołnierzy czy wrześniowych liści

Ernest Bryll

Wrzesień

Ta mała polska wojna dotąd jeszcze drzyma
Za skórą świata. Choć sadłem przerosła,
Boli niby odłamek, jak myśl, co jej ni ma,
Boć wszystko załatwione, boć sprawa jest
prosta
Jak sprawy małych narodów...

Ta wojna wciąż żywa
Przez tłuszcz przeryzyna się, krwawi,
pogniwa,
W Afryce pali niby krwawe znamię.
I w nas też mieszka i nam spać nie daje,
Choćbyśmy chcieli chrapnąć i nie wiedzieć,
Że obok mały naród znów w okopach siedzi,
A w bezpiecznych salonach legenda powstaje
O ludziach, choć odważnych, ale głupich,
dzikich,
Co ruszają na czołgi uzbrojeni w piki.

Tadeusz Uragacz

Lotna

Kogo ten koń obrusza,
kogo ten koń obraża
gdy leci poprzez jesień,
jak kartka z kalendarza.

Na nim pędzą Wojciechy,
Leszki i Tadeusze –
płoną słomiane strzechy,
jabłonie płaczą i grusze.

W wybuchach szrapneli rzeżąc
z Matkami Boskimi na piersiach
półstojąc w strzemiionach
pędzą
po tropie – po tropie września.

A tam już Polska zachodzi
piękna od ognia jak śmierć,
nad podziw piękna, nad podziw –
ich Pospolita Rzecz.

Ostrogi ostrzą osty,
ostróżki, ostępy os.
Kopyta moszczą mosty,
koszą rozstaje ros.

Leć, Lotna, ostatnim lotem,
leć, Lotna, na szyję, na łeb.
Co po nich zostanie potem?
Spalona ziemia. Step.

Adam Ziemianin

Makotka wrześniowa

Słoneczniki ognia ślepią oczy
białka ścinając od gorąca
wrzesień umiera na suchoty
lecz czuć trzeba choć noc śpiąca

ładnie zapowiadał się urodzaj
spichlerze pełne będą – mówili
wtem śmierć zeszała na żniwa
pełne już tylko mogiły

koszule tracą rękawy
pośpieszne chusty Weroniki
przykładane na usta ran
topią oblicze krwi

tracą też głowy żołnierze
koniec lata i koniec nadziei
choć jeszcze błąka się po lasach
orzeł z wojskowej furazerki

Kazimierz Sopuch

Bój za Narwią kończył się pod wieczór
żołnierzom w oczach przybywało cienia
tylko ojciec zajęty był siewem
– Daremnie płaczesz

żono

po to wrzesień
by ziemia ziarno przyjęta
nie ogień

Żołnierze ciasno stłoczeni przy studni
podporucznika matka mlekiem poi

– Mój chłop oszalał –
panie – rwą się kule
żołnierze giną

a on idzie w pole

– Twój mąż jest mądry

wojsko zginie

żołnierz pod darnią bez szemrania legnie

narodu żadna nie zmoże mogiła

póki ktoś w ziemię rzuca ziarno siewne

Gdzie chcesz uciekać

matko

w jakie ziemie?

Tu trzeba czekać

tu przyjdzie dzień chwały

Mówiono: tydzień

i już po wojence

a tu na wojnę idzie

Żegnaj matko

Oto ucichła

kanonada dział

zamilkły „sztukasy”

Na walczącej Warszawie

osiadła cisza

Przedpolem

szli parlamentariusze

Wtedy

z przywalonej piwnicy

wydołał się głos dziecka:

„Tak cicho –

czy Polski już nie będzie?”

I natychmiast

w odpowiedzi

przez Miasto

przeszedł głos Prezydenta

„Gdziekolwiek jesteście

tam jest Polska”



Dariusz Pawlicki

O naturze & wolności

(...) najgorsza z niewoli jest ta,
której już nikt nie dostrzega (...)

Stefan Kisielewski, *Dzienniki*

Czesław Miłosz nie miał do natury stosunku nabożnego, a nawet pozytywnego. Wielokrotnie podkreślał jej okrucieństwo. Uważał ją również za wrogą człowiekowi. I to zarówno ze względu na katastrofy zwane naturalnymi, jak też, na przykład, bakterie chorobotwórcze. Równocześnie dysponował rozległą, stale poszerzaną wiedzą na temat przyrody. I często o niej pisał: o tej litewskiej jak i amerykańskiej. Ale w jego twórczości nie stanowi ona tematu samego w sobie, jest jedynie tłem, scenerią jakiegoś zdarzenia bądź punktem wyjścia do snucia rozważań. W jednym z epigrafów zamieszczonych w tomie *Nieobjęta Ziemia*, Miłosz podaje także inne powody swego negatywnego stosunku:

*Przyroda mnie szybko nudzi, a nuda i młodość
to prawie to samo.
Gdybym znalazł się na bezludnej wyspie,
prawdopodobnie
namnożyłbym bogów przychylnych albo
niechętnych, mocy, potęg
i tylko z nimi bym obcował.*

Poglądy w powyższym duchu prezentował wielokrotnie w ciągu długiego życia. I przeszło czterdziestoletni pobyt w Kalifornii niczego w tym względzie nie zmienił. A nie tylko tam, ale w całych Stanach Zjednoczonych, natura jest traktowana bardzo po... nie-Miłoszowsku. Uosabia bowiem Raj, Świat przedgrzeszny. A niekiedy wręcz tak właśnie jest traktowana. Konsekwencją tego stanowi przekonanie o niewinności przyrody. Skrajnym przykładem takiego właśnie stosunku do natury jest Robinson Jeffers. Dla niego przyroda, jako taka, jest doskonałością. Nie ma jednak niczego z boskości. Lecz Jeffers, jeśli chodzi o przekonania dotyczące człowieka i natury, uczynił bardzo długi krok do przodu, a może... do tyłu, wobec poglądów innych Kalifornijczyków czy w ogóle Amerykanów stawiających przyrodę na piedestale. Wyrażał bowiem pogląd, że obecność człowieka jest jak najbardziej niepożądana; że ludzkość, a wraz z nią jej wytwory, powinny zniknąć z powierzchni Ziemi. Uważał także, że człowiek, jako gatunek nie ma przed sobą przyszłości, jest bowiem skazany na rychłe nieistnienie. Jego poglądy na naturę i człowieka jednoznacznie zasługują na miano ahumanistycznych. I w tych swoich poglądach był najprawdopodobniej szczery. Głosił je przy tym przez kilka dziesięcioleci, do końca życia. I dał im wyraz w wielu wierszach. Poniższy jest tego przykładem:

CARMEL POINT

*Niewiarygodna cierpliwość rzeczy!
Urocze miejsce skażone liszajem domostw.
Jakie piękne było, kiedy zobaczyliśmy je
pierwszy raz:
Nietknięte pole maków i dzikiego tubinu,
skalna ściana,
I nikogo, tylko parę koni pasących się tam,
Czy kilka mlecznych krów ocierających boki
o głazy.
Teraz przyszedł niszczyciel. A miejscu co do
tego?
Nie dba, ma pełno czasu. Wie, że ludzki
przyptyw
Wzbiera i przyjdzie czas, że cofnie się i jego
dzieła
Znikną. A obraz pierwotnego piękna
Żyje tu w każdym ziarenku granitu,
Bezpieczny jak ocean bijący o nasz brzeg. Co
do nas,
Musimy odwrócić umysł od nas samych
I trochę odczłowieczyć naszą myśl, i ufać,
Tak jak ufa skała i ocean, z których jesteście
zrobieni.**

Henry D. Thoreau, który na poglądy Robinsona Jeffersa miał niewątpliwie wpływ (lecz nie na ich skrajną postać), w *Szczytnych zasadach*** zawarł m. in. taką uwagę:

*Podobnie jak większość ludzi znajduję w sobie
pociąg zarówno do
wznioślejszego – czy inaczej mówiąc –
duchowego życia, jak i do sfery
prymitywnej i dzikiej, lecz obie jednakowo
poważam. Kocham dzikość nie mniej
niż dobro.*

A pisząc o dzikości miał na myśli naturę.

* * *

Poglądy Jeffersa, jak też tych wszystkich, którzy stawiają naturę ponad człowiekiem, nie są moimi. Przede wszystkim dlatego, że uważam, iż moje miejsce jest pośród przedstawicieli gatunku, do którego należę; zawsze po ich stronie. Jestem jednak zdania, że spoczywa na nas, ludziach odpowiedzialność za przyrodę. Choćby dlatego, że jesteśmy jej użytkownikami (lecz nie panami!). Dlatego sprzeciwiam się, niczym nieuzasadnionemu niszczeniu przyrody. Z tego chociażby względu, że poza nią nie możemy istnieć. A czymś absurdalnym jest działanie na własną szkodę. Nie podzielam jednak panteistycznych poglądów wielbicieli natury. Także punkt widzenia Miłosza na nią, nie jest moim. Choć jestem świadomy niebezpiecznych dla człowieka zdarzeń, których źródłem jest przyroda, to nie przestaję wierzyć wielu jej elementom; szczególnie tych bardzo zwyczajnych,

napotykanych na co dzień, a które przyciągają moją uwagę, chociażby ze względów estetycznych. Przykładem mogą być drzewa. Uwadze jaką im poświęcam często towarzyszy zachwyt. Użyłem słowa „zachwyt”, aby szybko przywołać fragment bardzo ciekawego tekstu Pawła Muratowa *Wokół Wenecji*:

*(...) zdolność wpadania w zachwyt wobec
uroków przyrody świadczy jedynie, że
utraciliśmy z nią wszelki związek. Znalazłszy
się poza jej obrębem, nauczyliśmy
się spoglądać na nią z boku, na co nigdy nie
zdobyliby się ludzie epoki
starożytnej, a ponieważ także odrodzenia,
którzy tworzyli wraz z przyrodą jedną,
nierozzerwalną całość. Nie pojmując już jej
mowy, chętnie, siłą rzeczy, nadając jej
cechy ludzkie, obdarzyliśmy przyrodę naszymi
własnymi uczuciami i myślami.
Nie słysząc już jej głosów, zastąpiliśmy je
naszą własną wymową. Świat oniemiał
z chwilą, gdy niezgodne chóry naszych
prozaików i poetów zagłuszyły szept
boginek leśnych i nimf rzecznych źródeł***.*

Z jednej strony, ubolewam nad tym, że ludzkość utraciła wszelki związek z naturą. Z drugiej zaś, cieszę się, że dzięki temu zaczęła ją dostrzegać. No cóż, coś za coś. Jeśli zaś chodzi o szepty „boginek leśnych i nimf rzecznych źródeł”, to rzeczywiście ich nie słyszymy (przynajmniej ja ich nie słyszę, a dużo czasu poświęcam wsłuchiowaniu się). Ale nie mamy wcale pewności, że Coś ważnego dla nas, ludzi one (wciąż) wyszeptują.

W związku z przytoczoną wypowiedzią Pawła Muratowa na temat jedności ludzi i natury w pewnych epokach, warto wspomnieć, że w średniowieczu uważano, iż córką Pana Boga jest Natura. Natomiast sztukę, która ją naśladowała (było to powszechnie wówczas akceptowane założenie), określano mianem wnuczek Pana Boga. Hierarchia ważności i wartości, chyba jaśniej nie może być sformułowana.

Przyrody, jak wspomniałem, nie utożsamiam z Bogiem/bogami. Jest ona dla mnie, przede wszystkim, naturalnym pięknem. I mam na myśli „piękno” jakim charakteryzują się środkowoeuropejskie krajobrazy. Tym zaś, co je cechuje, mówiąc ogólnie, jest spokój i umiar. Spokój, gdyż w tej części świata katastrofy naturalne w postaci trzęsień ziemi, nie zdarzają się, a trąby powietrzne są rzadkością. Natomiast na pejzaże składają się wody bieżące i stojące, niziny i wyżyny zajęte przez pola uprawne, pastwiska, lasy. Do tego dochodzą jeszcze góry, niezbyt wysokie, w zdecydowanej części zalesione. Wszystkiego jest więc po trochu, nic nie jest dominantą. Z całą pewnością można więc mówić o umiarze. Do tego Europa Środkowa nie jest wielka

(niektórzy powątpiewają w jej istnienie). To zaś w sumie sprawia wrażenie miejsca udomowionego.

Z przyrodą staram się mieć kontakt jak najczęstszy. I prawie nigdy nie jest mi go dość. Moje oczekiwania są bowiem w tym względzie znaczne. Korzystam więc z każdej nadarzającej się okazji, a także je stwarzam, aby móc „otrząść się” o naturę. Aby mieć z nią kontakt nie tylko wzrokowy, ale i dotykowy np. w postaci zajęcia miejsca na pniu pozostałym po ściętym drzewie (przedtem wyrażę jednak żal, że drzewo zostało unicestwione).



© Fot. Dariusz Pawlicki

Już samo patrzenie na elementy natury, chociażby na grupę drzew, przynosi ulgę, gdy przeżywa się... kłopoty np. finansowe (wiem o czym piszę). Sprawia, że one oddalają się nieco, stając się, przynajmniej na jakiś czas, mniej dojmującymi. O takim terapeutycznym oddziaływaniu przyrody wspominał Friedrich Nietzsche. Odwoływał się bowiem do „przyrody jako niezawodnego środka, usmierzającego dolegliwości nowoczesnej duszy”. Powoływał się przy tym na poglądy Johanna W. von Goethego.

Ale dają o sobie znać też chwile, gdy owe problemy wydają się być wręcz nierealnymi bądź dotyczącymi kogoś innego. Przynajmniej w moim przypadku, tak właśnie często się dzieje. Nie jest mi jednak trudno wyobrazić sobie kłopoty, wobec których natura nie będzie w stanie zadziałać usmierzająco. Oby jednak były one każdemu, a więc i mi, oszczędzone. Oby!

Przeżywanie piękna natury odbywa się nie tylko na bieżąco. Może bowiem również dotyczyć wspomniania miejsc wcześniej widzianych (intensywność wspomnień sprawi, że staną się one niemal rzeczywiste); także snucia marzeń z nimi związanych. Te wspomnienia i marzenia nie muszą wcale dotyczyć wielkich, rozstawionych obiektów przyrodniczych. Mogą nimi bowiem być grusze rosnące samotnie pośród pól i łąk, albo sterty kamieni polnych leżące na mie-

szkach. Rzecz tylko w tym, aby zogniskowały się w nich myśli.

Kontakt wzrokowy z naturą, „ocieranie się” o nią, może sprawić, że niektórzy z obserwatorów poczuć chęć zakosztowania życia na łonie natury. Nie mam jednak na myśli chęci spędzenia w jakiejś dziczy dwóch-trzech tygodni urlopu (wspinanie się po szczeblach kariery nie pozwala na więcej), ale zagoszczenia w niej na stałe. Ta chęć może mieć dwa, przeciwstawne pochodzenia, źródła: pierwsze, to silne przyciąganie przez samą naturę; drugie – pragnienie ucieczki z cywilizacji w związku np. z rosnącymi problemami ze splotą kredytów, niechęci do kontynuowania życia korporacyjnego, urzędniczego. Rzecz jasna, kończy się to na marzeniach, na powrocie do szeregu. Powodem tego tylko w pewnym stopniu jest lęk czy wręcz strach przed nowym. Chodzi bowiem przede wszystkim o to, że dominującym modelem życia jest posiadanie Szeffa/Pana, a nie bycie wolnym. Benedetto Croce na ten temat wyraził się jednoznacznie, pod prąd obowiązującym poglądom każącym słowo „wolność” mieć stale na ustach, jak też odmieniać je we wszystkich przypadkach, jako największe marzenie rodzaju ludzkiego (drugim takim słowem jest „demokracja”). Otóż napisał wprost:

Ludzie nie pragną wolności...

Kilkadziesiąt lat później Józef Tischner powiedział w *Przekonać Pana Boga*:

W dzisiejszym świecie wolność jest problemem. Wolność już jest. Pozostało pytanie: co zrobić z wolnością?”

Czego w takim razie pragną ludzie? Może tego o czym Józef Tischner wspomina nieco dalej, w tej samej publikacji:

Świat techniki to świat wygody, która zajeła miejsce szczęścia.

Kiedy bowiem nie wiemy, co zrobić z wolnością, zaczynamy obawiać się jej. Tym bardziej się obawiamy, im w większym dobrobycie żyjemy. Wtedy, prędzej czy później, ale zaczynamy rozglądać się za Szeffem/Panem, któremu, za cenę zachowania wygodnego życia, oddamy wolność (na początek drobną jej część). Myślę, że tak właśnie jest: nie pragniemy wolności, lecz zaspokojenia swoich potrzeb, stałego doznawania przyjemności. A takie oczekiwania umiejscawiają się natychmiast, i wyraźnie, na przeciwległej pozycji wobec natury. Bo w niej nie może być mowy o wygodzie (gdymy tak było, nie byłaby ona naturą), czyli w niej możliwe jest... szczęście. W niej jest też wolność, która na dodatek nie pozwala zapomnieć o tym, czym ona jest. Choćby dlatego, że stale daje o sobie znać w postaci konieczności dokonywania wyborów, jak też brania pod uwagę ich konsekwencji. Na temat wolności Josif Brodski napisał i takie, dające do myślenia, zdanie:

Gdy człowiek wolny ponosi porażkę, to nikogo za to nie wini.

Dariusz Pawlicki

* Tłumaczenie Czesław Miłosz.

** *Szczytne zasady* w: Henry D. Thoreau *WALDEN czyli życie w lesie*; tł. Halina Cieplińska.

*** *Wokół Wenecji* w: Paweł Muratow *Obrazy Włoch. Wenecja*; tł. Paweł Hertz.



Jubileusz 25-lecia debiutu literackiego Izabeli Zubko

Z **Izą Zubko** spotykałem się przelotnie, gdy chodziła między blokami, nieopodal banku, apteki i oddziału ZUS, maszerującą z północnej strony mojego domu przy ulicy Kadema Bandrowskiego (oddalonego o 100 m), aby przedostać się na drugą stronę ulicy Wrocławskiej, przy której mieszkaliśmy. Kłaniał się sobie, czasem widywałem ją z dwiema małymi córeczkami, które prowadziła trzymając za ręce. Kilka miesięcy po śmierci mojej żony Iza zaczęła odwiedzać mnie w mieszkaniu. Chciała za pierwszym razem od razu wejść do mojego pokoiku, ale panował tam wielki nieporządek – jak to na gospodarstwie kawalera z odzysku. Przesiadaliśmy w pokoju gościnnym, Iza spodobała się. Chciała, aby u mnie w domu odbywały się spotkania grupy literackiej „Terra Poetica”, która zawiązała się w Bemowskim Centrum Kultury ART.BEM. Nie bardzo miałam na to chęć, bo pokój byłby wybrudzony, zdeptany...

Iza przychodziła do mojego mieszkania, bo wiedziała, że jestem samotny. Przynosiła wiersze – omawialiśmy je (nie bardzo przypadły mi do gustu, nawet zdziwiłem się, że takie opatrywał wstępem Ernest Bryll i Zbigniew Jerzyna). No cóż, jako Warszawianka miała możliwości kontaktowania się z różnymi wielkościami. Z drugiej strony nie szlifowała warsztatu pod czymś fachowym okiem, nie miała kontaktów z redakcjami, a mimo to udało jej się współpracować z najlepszymi autorami, którzy sami ją wybrali! Starłem się jej pomóc. Kazałem jej zanieść wiersze do pism drugorzędnych. Publikowała w kwartalniku „Własnym Głosem” czy miesięczniku „Nasz Głos”. W „Twórczości” spotkała się z odmową druku. Czując potrzebę rozwoju twórczego postanowiła złożyć

dokumenty do dwuletniego Studium Literacko-Artystycznego przy polonistyce Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Dostała się tam za pierwszym razem. Iza źle wypadła na zajęciach, prowadzonych przez krytyka i poetę – Karola Maliszewskiego. Przedstawiła wiersze proste, niewyrafinowane, schematyczne, pisane dystychem. Oto jeden z nich:

Wesołe miasteczko

Pij każdą kroplę
szczęścia do dna.

Delektuj się dźwiękiem
prawdziwego śmiechu.

Balansuj po nitce
dobra i zła.

Kąp się w adrenalinie
swoich czynów.

Krzycz z rozkoszy
w miłosnym gniazdku.

Baw się ślepym losem
póki ma cierpliwość...

Wykładowcy nie przypadł do gustu ten utwór. Odniósł się wobec niego (jak również do pozostałych) na tyle krytycznie, że o mały włos nie zrezygnował z nauki. Gdy spotkał się niedługo po tym, była spłakana, drżała, nie mogła się uspokoić. Myślałem, że przerwie pisanie. Postanowiłem jej pomóc. W odpowiedzi na zaproszenie, przyszedłem do Izy do domu. Gdy włączyła komputer, zaczęliśmy pracę nad jej tekstami. Delikatnie pokazałem, jakie popełnia błędy, tłumaczyłem, dlaczego te wiersze są za proste, są niewystarczające i nie będą nigdy docenione. Zaleciłem jej pisanie nie tylko dwuwersami, ale także zwrotkami i to skomplikowanymi. Objąsniłem, na czym to polega, że musi dotrzeć do zakamarków tajemnic przekazu, popracować nad kompozycją wnętrza strof. Od tego czasu – jak zauważyłem – zaczęły pojawiać się u niej coraz trudniejsze, wartościowsze wiersze.

Przychodziła z Widawskiej na Bandrowskiego raz na jakiś czas. Posiedzieliśmy trochę, porozmawialiśmy, a kiedy między nami zapanowało niezręczne milczenie wychodziliśmy na spacer. Najczęściej szliśmy w stronę kościoła NMP Królowej Aniołów, przy ul. Bł. Ks. Markiewicza. Tam kłaniały jej się siostry zakonne i księża Michalicy, bo znali ją, gdyż pisała również wiersze o tematyce religijnej (co w późniejszych latach przyczyniło się do jej obecności w słowniku biograficznym polskich współczesnych poetów religijnych). Podczas spaceru Iza opowiadała o współpracy z Domem Kultury w Dęblinie, o rodzicach mieszkających w Tomaszowie Mazowieckim, o swoich planach związanych z literaturą.

Później miałem z Izą wieczór autorski na warszawskiej Pradze, poświęcony naszym erotykom. Spotkanie o nienajgorszej frekwencji, prowadzone przez Zdzisława Brudnickiego, było ciekawe, absorbujące i zjednoczące uznanie. Mąż Izy robił nam zdjęcia i nie

odstawał od swojej żony na krok. Po spotkaniu zaproponował mi powrót do domu ich samochodem. Odmówiłem. Zostałem z Kariną Miękus, z którą postanowiłem pójść na długi spacer.

Z każdym miesiącem coraz bardziej doceniałem wartość literacką twórczości Izy. Licząc na pomoc przy redagowaniu dodatku „Myśl Literacka” w tygodniku „Myśl Polska”, zaproponowałem jej stanowisko pomocnika sekretarza w zespole redakcyjnym, celowo (tak po ojcowsku) skracając w stopce gazety jej imię z Izabeli na Iza. W zespole nadawała się głównie do prezentowania wierszy, acz napisała wywiad dla pisma ze Zbigniewem Jerzyną, a potem dziewięć innych wywiadów (w tym jeden z mną) dla „Bemowo News” wydawanej przez Burmistrza Dzielnicy Bemowo. Niestety, zaczynał się intensywny okres spychania na margines kultury i te wywiady nigdy nie zostały opublikowane. Po kilku latach w dodatku literackim rozwinęła swój warsztat dziennikarski i zaskoczyła mnie przynoszonymi artykułami, które z chęcią drukowałem, dokonując naprawdę niewielkich poprawek.

Iza przychodziła raz w miesiącu na zebrań do siedziby RSTK (Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury), będąc ich ozdobą. Tutaj Iza rozwinęła skrzydła. Po jakimś czasie zauważyłem jej nazwisko również w stopce redakcyjnej kwartalnika „Własnym Głosem” Pawła Soroki, wydawanego przez RSTK. Nie zdziwiłem się, bo należał jej się awans. Ale nie wiedziałem, dlaczego nie chciała pisywać teraz do mojej gazety, coraz rzadziej podsyłając mi tylko wiersze. Tłumaczyłem to sobie brakiem czasu, bo właśnie podjęła pięcioletnie studia na kierunku filologia rosyjska. Jednak ciągle mogłem liczyć na artykuły przez nią przepisywane z rękopisów. Nie radziłem sobie z komputerem. Przedtem pomagali mi Paweł Sieczko, Zdzisław Koryś oraz Janek Rychner. Iza bardzo szybko dostarczała mi gotowe wydruki części moich „Wspomnień” do przygotowywanego przeze mnie albumu (eseje, wiersze i jakieś opowiadania). Trwało to długo i za każdym razem przy oddawaniu mi przepisane materiały pytała o następne. Jeżeli osobiscie nie mogła przekazać mi tekstów, prosiła o pomoc swoje dzieci. Doceniałem pilność i punktualność Izy. Teksami wymienialiśmy się przy Aplauzie (zbieg ulicy Górczewskiej i Radiowej) lub w barze „U Tadzka” znajdującego się w pobliżu. Właśnie tu życie literackie dla Izy, dla mnie i dla Pawła Soroki zaczęło bardzo intensywnie tętnić. W tym barze fotografowaliśmy się z całym zespołem „Myśli Literackiej” a zdjęcie zostało opublikowane w numerze jubileuszowym. W tym miejscu również wyprawiłem swoje imienniny. Wśród osób zaproszonych była oczywiście Iza.

Na krótko przed opuszczeniem przeze mnie Bemowa Iza przeprowadziła się. Gdy opuściła swoje dawne miejsce zamieszkania, powiało pustką i obcością. Przed moim domem hulał wiatr, daleko niósł się lity beton, a przed sklepami, na drodze naszych przypadkowych spotkań, zrobiło się beznadziejnie. Moja kochająca mnie podobno 19-letnia ekspedientka Kasia z osiedlowego sklepiku,

gdy dowiedziała się że i ja opuszczam to bezлюдne już miejsce, popłakała się i wymówiła pracę, czując się w ogromnym blokowsku równie samotnie.

Po zmianie mieszkania moje relacje z Izą nie zmieniały się. Spotykaliśmy się nadal. Kiedyś podczas kolejnego z naszych roboczych spotkań napomknąłem, że rezygnuję z funkcji redaktora naczelnego „Myśli Literackiej”, bo mam go dość, spojrzęła na mnie innymi oczyma i ujrzałem w nich zaskoczenie, troskę i politowanie. Z jej twarzy wyczytałem, co inni będą o mnie myśleć i mówić, gdy zrezygnuję. Postanowiłem więc działać, nie poddawać się i utrzymać stanowisko. Dobrze zrobiłem, a pomogła mi w tym właśnie Iza, która zareagowała naturalnie i dała mi do zrozumienia, że jeżeli się poddam, zostanę nikim. Moja przyjaciółka, z którą się żyłem, a która trzymała nasze relacje na dystans – uchroniła mnie przed podjęciem błędnej decyzji, która mogła zaważyć na moje życie nie tylko literackie.

Niedawno Iza przepisywała mi na komputerze tekst o Miłoszu, a ściślej o moich kontaktach z nim. Ja z kolei wykonałem jej recenzję z nowych wierszy religijnych, składających się na tomik „W imię Ojca...”. Ciągłe się mijaliśmy i nie mogliśmy spotkać, by wymienić materiałami. Raz powiedziała mi przez telefon: „O, ja w tym czasie będę za granicą”. Tak, Iza Zubko po literackich wojażach na Ukrainie zaczęła być rozchwytywaną poetką wśród Polonii. Na moich oczach urosła. Niepodobna już była do tej dziewczynki, którą spotkałem się po raz pierwszy. Pełna wdzięku i uduchowiona swoją pozycją zawdzięcza talentowi oraz uporowi, który jej bardzo pomaga. Jest też inicjatorką i współzałożycielką II Oddziału Warszawskiego SAP. Dzięki pracowitości i licznym wieczorom autorskim na terenie Warszawy, Polski, Europy, a nawet poza nią, pokazała swą wartość. Jej wiersze zostały przetłumaczone na języki obce i wypłynęły w świat.

Iza pozostała mi szczególnie bliska ze spotkań w WSTK, których nie opuszcza mimo ogromu zajęć. Prezentuje tu rozwój swojej poezji – o czym ona sama nie zdaje sobie sprawy - czego jestem pewien. Tak jak gdzie indziej pokonała bariery, a dzięki Stowarzyszeniu otrzymała srebrną (2010) i złotą (2015) odznakę za osiągnięcia literackie i działalność na rzecz organizacji. Więcej, przyszły następne wyróżnienia z obu tych dziedzin. Przyznano jej w tej organizacji odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (2017), a ostatnio – na wniosek Stowarzyszenia Autorów Polskich – Brązowy Krzyż Zasługi (2018). W międzyczasie odbywała dalsze podróże za granicę. O nich tak wspominała w rozmowie z Markiem Krakowiakiem („Myśl Literacka” nr 118, 20-27 maja 2018): „Zanim zostałam członkiem ZLP byłam zapraszana do jury konkursów literackich, w tym również międzynarodowych. Brałam także udział w festiwalach poetyckich. Największym zaskoczeniem była dla mnie propozycja, która przyszła z Maroka. Wraz z Alicją Kuberską zostałyśmy zaproszone na V Międzynarodowy Festiwal Poezji, który odbywa się pod patronatem Jego Wysokości Króla Maroka Mohammeda VI.

Wcześniej brałam udział w Międzynarodowym Zlocie Poetów Polskiego Rodowodu w Wilnie i Międzynarodowym Festiwalu Poezji Słowiańskiej, którego pokłosiem jest antologia „Anthology of Slavic Poetry” („Antologia poezji słowiańskiej”), wydana w Wielkiej Brytanii”.

W zacytowanym tu wywiadzie poetka jeszcze dodała, że: „z okazji 25-lecia debiutu książkowego moje wiersze wyśpiewała Alina Małachowska. Koncert jazz&pop, którego byłam współautorką, cieszył się ogromnym zainteresowaniem”. Poetka miała jeszcze wiele innych spektakularnych sukcesów. Z okazji swego jubileuszu wystąpiła na spotkaniach autorskich w Dęblinie, Kruszwicy, w Piastowie, Opocznie oraz kilkakrotnie w Warszawie.

Jeszcze przed obchodami jubileuszu przez Izę, zmieniły się nasze relacje. Zrezygnowałam z prowadzenia „Myśli Literackiej”, dodałam do „Myśli Polskiej”, głównie ze względu na zły stan zdrowia. Tym samym Iza musiała odejść ze stanowiska redaktora w prowadzonym przeze mnie zespole redakcyjnym (pełniła tam przez blisko 10 lat funkcję społecznie), ale nie wywarło to na niej wielkiego wrażenia, bo już wcześniej weszła w skład redakcji „Metafory Współczesności”. Andrzej Zaniewski na spotkaniu literackim w Domu Literatury zorganizowanym z okazji naszych jubileuszów pracy twórczej wyraził się, że była dziennikarką znakomitą, co wydało mi się powiedziane na wyrost, a z drugiej strony wielce mnie połaskotało, bo współpracę z pismami zaczynała pod moimi skrzydłami. W każdym razie przestała pisać do „Myśli Polskiej”, choć pismo to poświęcone m.in. kulturze narodu, nadal zamieszczało niektóre artykuły moje i moich dawnych współpracowników.

Nasze kontakty nie urwały się. Iza obchodziła przy moim udziale dwa razy jubileusz 25-lecia swej pracy literackiej. W ogóle obchodziła go od marca 2018 roku do maja 2019. W grudniu w Klubie Księgarza na Starym Rynku w Warszawie odbyła się promocja naszej wspólnej książki „Mały pisarczyk z Małoszyc”, którą napisała w oparciu o rozmowy ze mną. W wywiadzie-rzecz opowiedziałem jej o tuzach sztuki pisarskiej. Podczas spotkania czytała fragmenty publikacji. W dużej mierze dzięki niej, bo wspaniale czytała moje utwory, wieczór ten był ze wszech miar udany. Zabierali głos Andrzej Zaniewski, Piotr Dumin, Stanisław Bartos, Paweł Soroka i inni. Spotkanie wywarło takie wrażenie na dyrektorze Klubu Księgarza, Janie Rozenie, że po tygodniu, gdy pojawiłem się przypadkiem w tej placówce na kolejnym zorganizowanym tam spotkaniu, sam zaparzył mi kawę, przyniósł i postawił przede mną, żebym ją wypił.

Obchody jubileusz 25-lecia pracy twórczej Iza obchodziła na naszym wspólnym wieczorze literackim w Domu Literatury na początku maja 2019 roku, gdzie ja – obok niej – świętowałem swój jubileusz 70-lecia urodzin. Przyszło na spotkanie mnóstwo osób (Iza wyraziła się, że była cała Warszawa), a do tego oficjele w osobach prezesa Związku Literatów Polskich – Marka Wawrzekiewicza, i przewodniczącej Oddziału Warszawskiego

ZLP – Aldony Borowicz. Prezentowaliśmy głównie wspólną książkę „Mały pisarczyk z Małoszyc”.

Iza mówiła o ponad dwuletnim procesie powstawania książki, o rocznym jej przepisywaniu (materiały przekazywałem jej w rękopisie i uzupełniałem podczas rozmów). Odczytała kilka swoich wierszy o tematyce ogólnej z ostatniego tomu poetyckiego „Świat wygasłych lamp”. Spotkanie trzymało w napięciu. Za stołem organizatorów zasiadali: Iza Zubko, ja, Andrzej Zaniewski, Maria Bednarek, przy gitarze zajęła miejsce Olga Teresa Banaszek-Bednarek, która skomponowała piosenki inspirując się jednym wierszem moim i jednym Izy. Dodatkowo zaprezentowała utwór, który mnie zadedykowała. Spotkanie zaskoczyło się mocnymi okłaskami, a na życzenie Izy odśpiewano mi „100 lat!”. Na przyjęciu kosztowano tort i szampa na kupionych przez nią dzięki mojemu wkładowi finansowemu.

Po zakończeniu spotkań jubileuszowych rozpoczęła cykl udanych wieczorów w Krynicy-Zdrój i okolicy promując swoją twórczość. Ostatnio pojechała do Chrzanowa (niedaleko Oświęcimia), gdzie miała miejsce uroczystość rozstrzygnięcia konkursu poetyckiego „Piszemy do fotografii”, który został zorganizowany przez Stowarzyszenie „Wiklina znad Skawy”. Wszyscy laureaci otrzymali między innymi książkę „Światłem i słowem” autorstwa Bernadety Krawiec, Gustawa Czerwika, Jana Paliczki oraz Izabeli Zubko. Publikację tę rozpoczyna słowo wstępne, które napisała.

Iza jest nie tylko poetką, redaktorką, autorką wstępów do książek, autorką licznych recenzji, tłumaczką, ale również świetną maszynistką. Metodą bezwzrokową sprawnie przepisuje teksty wielu moich artykułów, recenzji, niektórych prac literackich, a nawet ważnych listów do instytucji państwowych. Opracowała i zredagowała „Małego pisarczyka z Małoszyc” (2017), przepisała dwie sztuki teatralne, które opublikowałem w zbiorze „Do trzech razy sztuka” (2016), przepisała większość tekstów, które ukazały się w moich książkach „Żywoty psycholodów – artystów o tęskniących duszach” oraz „Wspomnienia, eseje i wiersze” (2018). Następnie wzięła się za obszerny rozdział do książki „Pod górę”, który powstał z napisanych w dzieciństwie i wczesnej młodości wspomnień, wierszy, opowiadań. Iza była niezmiennie wytrwała, bardzo pracowita i co ważne – wyjątkowo inteligentna. W mig pochwytywała, co jak należy zrobić. Wiele jej zawdzięczam. Między innymi dzięki jej staraniom na rynku wydawniczym ukazała się książka „Pisarze nurtu narodowego” (2018), do której napisała posłowie. Przetłumaczyła mi również wiersze na język rosyjski i wraz z Alicją Kuberską wydała w zbiorze „Moja ziemia” (2017).

Podczas obchodów jubileusz 25-lecia pracy powiedziała, że znamy się 15 lat. Długo. Wywarłem na nią wpływ (często podkreśla, że oddziaływałem na nią w równym stopniu, co Zbigniew Jerzyński i Andrzej Zaniewski), ona – kobieta o nieprzeciętnej osobowości – wywarła wpływ na mnie. Byliśmy obok siebie jako twórcy, jako akty-

wiści ruchu kulturalnego i jako ludzie. Znaczenie Izy dla mnie będą mile podkreślać, tu tylko przede wszystkim ująłem je w faktach.

Stanisław Stanik



Magdalena Kapuścińska

Ogień

Jestem jak ogień.
Sama nie wiem, czego chcę.
Raz cichnę, przygasam,
raz niosę pożogę.
Nie strawię cię,
sama siebie nie mogę,
choć w tobie płonę.

Balon

Mam czyste intencje
robię wszystko z całego serca
Klnę na cały regulator i...
kocham do szaleństwa.

Jestem jak balon emocji
w świecie pełnym szpilek.

* * *

Myślałam, że dzieli nas wszystko.
Pomyliłam się jak zwykle,
bo jesteście sobie bliżsi
niż kiedykolwiek.
Musimy chyba być kosmitami,
bo czy to możliwe,
by tak kochał człowiek?

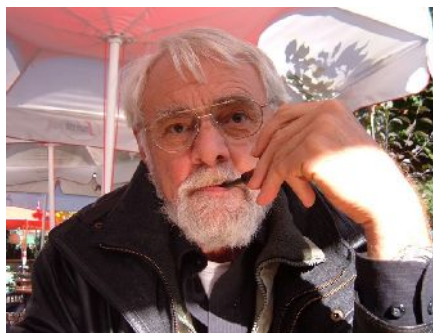
* * *

Skuszona czystością obłoków
i brokatem gwiazd
tak długo patrzyłam w niebo
aż zapomniałam
że jesteś ziemią

* * *

Dogorywam. To koniec.
Więcej nie pozwolę
zamknąć siebie w kokonie
jedwabnych obietnic.

Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębowski

Głęboka ciemność złego snu (1)

Myślę, że nie ulica, ale takie miejsca są obrazem emigrantów. Wtedy w Konsulacie właśnie Rudnik, ten pisarz, jak się przedstawił swoją rzeczywistość wygadana elokwencją coś nam powiedział, coś wyjaśnił, mianowicie to, że ta cała nasza ojczyzna, którą opuściliśmy w ten lub inny sposób, właśnie ona zależy od kąta jej widzenia i przeżywania. On już dawno wyparł się jej, gdyż ona wyparła się pierwsza jego, wkładając mu na siłę do ręki paszport w jedną stronę. Myślę, że mówił to wyłącznie do mnie, posiadacza takiego samego paszportu:

– Na emigracji, bracie, powtórnie należy sfunkcjonalizować swój rodowód. Odcięli ci dopływ krwi. Nie sztuka jest być tym, kim się jest. Sztuka być tym, kim chce się tu być. Tacy jak ty będą tu szukać siebie w tej emigracyjnej płazce i w kamieniu każdego dnia pobytu tutaj, tak z wami będzie aż do zasranej śmierci.

– Uważasz zatem, że sceptycyzm i agnostycyzm ojczyzniany są takimi koniecznymi stopniami wiary, wiary w siebie, we własną osobowość i pochodzenie?

– Właśnie tak! Aby uwierzyć tu w siebie, należy najpierw dojść do całkowitej niewiedzy o sobie. To pomaga przetrwać, przynajmniej te pierwsze lata tułaczki i wyobcowania. Kiedy to wypocisz z siebie, pracując w jakiejś garkuchni lub zbierając kamienie z pola u jakiegoś bauera, pozwoli ci to zostać i zapomnieć, gdzie się urodziłeś i kim byłeś. Takim profesorkiem, nauczycielem, dziennikarzem, czy takim skrabipiórkiem jak ja.

Zadziwiająco, ile było w nim wiary w siebie i pewnie z tego powodu powinienem go podziwiać. Chciał zagłuszyć we mnie moją nietrwałość i kruchość. Ale wołał trochę skrzeczącym głosem w tę moją przestrzeń egzystencjonalną, o ile coś takiego dźwigałem w sobie. Cholera, oto stał się moim tu przywódcą, prorokiem. Wiedziałem, że jego sąsiadka Uschi uczyła, go niemieckiego. Wyrażał się o niej... chora alkoholiczka, lekko stuknięta. Widziałem ją parę razy u jego boku

w różnych sytuacjach. Herr Rudnik, mnie nie interesuje twój los i twoje traktowanie emigracji, twoja kondycja bytu na wygnaniu. Oczywiście mierzył go patos w jaki sposób różni tacy uchodzący przedstawiają swoje sprawy na obczyźnie, przyprawiając przy okazji krzywy gębę rodakom. Zapewne trwanie pod obcym niebem pośród upokorzeń, to gorsze od siedzenia w więzieniu. Jeden z takich emigrantów w swoim wierszu pytał, ile twarzy ma ojczyzna. To ty mnie stworzyłaś na swój wzór i podobieństwo, a ja nawet gdybym chciał cię zdradzić, nawet nie umiałbym tego uczynić. Obca ziemia, obce niebo nad łbem, obcy ludzie. I my pomiędzy kołem młyńskim a świętą papką wody, która nas porywa, miele, wyciska z nas soki. Ode-rwaliśmy się jak ptaki u gniazda.

Ten cały Rudnik był takim kpiarzem, ale kpiarzem nieobojętym na śliską pochylnię naszej tu terażniejszości i przyszłości. Czas pokaże jak z nami będzie. Czas, który jest surowcem naszego życia i każdy z nas będzie musiał z tego surowca ulepić sobie coś innego, coś własnego. Ojczyzna została gdzieś tam, leży cała w gruzach, które przygniatają rzeczywistość. I ta rzeczywistość będzie ciągle odbudowywana, jak to już bywało. I znów tę rzeczywistość zasypią gruzy, zatem istnieje pytanie, czy nie lepiej, gdyby zostawić ją spokojnie pod gruzami? Sponiewierana, ciągle kopana w zadek. Mój Boże, dlaczego?

Hamburg trwał cały w szkle deszczu. Wracałem piechotą z Konsulatu przemoknięty do suchej nitki. Było dawno po północy i kolejka metra nie jeździła. Było mokro i chłodno. Szukałem siebie w tej pustce i ciemności. Ma rację ten cały Rudnik; gdzie jesteśmy i dokąd idziemy. I nic mądrzejszego nie wymyśliłem tej nocy. Zacząłem żyć po prostu na innym piętrze. Nie ważna jest kamienica, nazwa ulicy przy której ona stoi. Danzigerstrasse, czy ulica Gdańska. Coraz mniej muszę mnie dotykać tego rodzaju skrzywienia. Żyję na innym piętrze.

Uschi sprawiała wrażenie małąki-śmieszki tkwiącej na ramieniu jej właściciela. Jest nadzwyczaj sympatyczna, powtarzała, aczkolwiek lekko stuknięta. Być może na tle pisarza z Polski. I jako pisarz, prawdopodobnie był już po pierwszej swojej powieści. Rudnik po prostu chciał, abyśmy stali się tu kimś innym. Każdy na swój sposób. Pewnie znał takich, którzy mu się starali wymigać, pozwalając sobie obnosić się tu ze swoją polskością, która na gwałt w obecności Niemców tłamsili, milknąc w kolejce metra, ale w kieszeni mając dwie zaciśnięte pięści. Byli tacy, co usiłowali swój niemiecki na siłę upiększać. To taka z ich strony ochronna, aplikacja gdyby co. Żle wychodzili na tym osobistym portrecie, ku uciechu spotkanych Niemców. W ich oczach trudno była zauważyć pogardę, czy zaskoczenie. Po prostu dawano im to poczucie, że są u siebie, czy zaskoczenie. Cholera! Chyba się zgubiłem w tym mieście. Na ulicach nie było nikogo, żeby spytać. I nikt nie wychodził z mijanych najnp pełnych oblubieńców piwa. Dobrze, niemieckie piwo. Dobrze oświetlone niemieckie miasta, fabryki kolorowych światła, a ja się błąkam. A przecież zdążyłem już dobrze

poznać to miasto.

Od dwóch dni mieszkam u córki. Żona została w innym mieście, sto dwadzieścia kilometrów stąd. Musiałem być w Konsulacie, bo mnie zapraszają. Rudnika, także i jeszcze paru innych. Jesteśmy swoi. Mamy coś w sobie, co przytaskaliśmy tu z kraju, w którym miało dużo się zmienić, ale nie zdążyło. Rudnika gównem to obchodzi. Jest tu sam na sam ze sobą. I ma tę Uschi. Tacy jak ja, mają na głowie tę swoją ojczyzną porzucaną, która też nas porzuciła, odrzuciła. Czym mi ona? Czy nadal moja, ojczyzna? I niech Rudnik mówi sobie co chce. Należy zachowywać się tu godnie. To tylko tryb awaryjny, chwile postaju. Jeżeli postój, to dlaczego ja ciągle idę? Zbłądziłem, cholera. Ani się wrócić, ani iść do przodu. A noc głęboka, mniej teraz roziskrzona neonami. Obce napisy. Może tak wrócić do konsulatu, żeby mi wyjaśnili, jak iść dalej...

Ale urzędnicy z całą pewnością już spali. Myślałem, oto całe moje życie ciągle gdzieś gubiłem. To tak, jak gdyby człowiek sam się utracił, zniknął z własnych oczu. I pewnie dlatego tak było ze mną, że zawsze ciągnęło mnie w różne strony, może właśnie tam, gdzie mnie nie było. Oczywiście tego z też powodu miewałem różne kłopoty i zmartwienia. Tak było po tym autorskim spotkaniu z rodakami w tym Konsulacie w miesiąc potem, jak wybraliśmy się w tym mieście-molochu na pasterkę. W miasteczku, w którym mieszkaliśmy, ta podniosła uroczystość odbywała się późnym popołudniem. Nie lubią sobie posiedzieć przy wigilijnym stole, jakże innym w wystroju, niż nakazuje nasza tradycja, nie wspominając już, co na tym ich wigilijnym stole królują. Akurat w tym niemieckim kościele polscy księża z Misji Katolickiej odprawiali pasterkę normalnie o północy. Cieszyliśmy się z tego powodu, bo tak nakazywała nasza tradycja. Kościół był pełen rodaków, ale byli też i Niemcy o katolickiej duszy, których pociągały polskie tradycje tego niezwykłego święta. Uduchowieni w rozterce, bo należało przywitać się ze znajomymi, złożyć im życzenia, przegapiliśmy tych przyjaciół, którzy mieli nas zawieźć samochodem do domu. Zapomnieliśmy też o tym, że o tak późnej porze już nie kursowało metro. Plac przed kościołem był pusty i przed nami była ta bezwzględna konieczność udania się do domu córki piechotą. Zimowa aura nie była nam przychylna, wiało jak diabli od morza, stąd jakiś czas spędziliśmy w budce telefonicznej. Nikt nie odpowiadał na nasze telefony, ani córka, ani kierowcy postaju taksówek. W końcu skończyły nam się drobniaki, które połykał automat. Następna budka telefoniczna była na karty, ale te zostały w domu. W drażnej ciasnocie pocztowej budowli było nawet ciepło i przytulnie, ale do czasu. W tej złowieszczej monotonii, przemarznięci do szpiku kości, w tym mdłym świetle wiszącej u sufitu neonówki, wyglądaliśmy z pewnością jak nocne zmary, które mogły wystraszyć późnonożnego przechodnia, ale takich nie było.

cdn.

Kazimierz Ivosse

Kozetka (50)



Dzień jak co dzień. Wakacje po polsku.

Książka pełna wiedzy jest mniej warta, niż jedno słowo, które potrafi rozweselić.

Gerhard Jung

Joanna Friedrich

Kiedyś rozpisywałam się na temat wakacji po włosku. Dziś czas na wakacje po polsku:

Bierzesz urlop i remontujesz chatę. Stukasz, pukasz i naprawiasz, wracasz do pracy z zakwasami i bardziej zmęczony niż zwykle ale za to zadowolony i z nowym otoczeniem estetycznym na następny rok.

Np. łazienka, np. kuchnia, np. jadalnia, np. sypialnia:

Podróżujesz w ten sposób (oczami) nie ruszając się z miejsca. Jest więc to jakaś odmiana urlopu włoskiego, kiedy leniuchujesz w domu, udając, że Cię nie ma i, że wyjechałeś na ekskluzywne wakacje.

Tam show off, tu show in.

Ponieważ ja też jestem na urlopie, tzw. macierzyńskim (niektóre mamy buntują się przeciwko nazwie „urlop”, sami się domyślacie – dlaczego), miałam okazję do połowicznego urlopu polskiego – w tym przypadku przekopania się przez starą szafę. Najstarszą szafę ze wspomnieniami. Ciuchy, buty i tzw. akcesoria są bardziej zaawansowanymi narzędziami w przywoływaniu wspomnień, niż takie, dajmy na to, zdjęcia.

Niektóre jeszcze pachną, inne szeleszczą, albo wyglądają na nienaruszone „zębem czasu”.

Jeszcze inne wyglądają, jakby należały do osoby, której kompletnie nie znasz, dalekiej kuzynki z zamorskiego kraju.

Siedem gór, siedem rzek, siedem lasów: Czy przeszłam tyle, co w bajkach, żeby znaleźć się tu, gdzie jestem? Jaka to bajka i kto ją pisze.

Życie to nie literatura.

Dla artysty inspiracją jest wszystko.

„Szarego człowieka” budują i przewracają „zwykle” doświadczenia. A gdyby je trochę podkolorować? Szepcze jakiś głos.

Ten sam głos podpowiada, że trzeba było nie lada pomysłowości na kamuflaż z szafy. Przecież czułaś się kompletnie inaczej. Przecież nie było cię na to stać. Myślni byłaś kompletnie gdzie indziej.

Skąd wiesz? Bo każda bohaterka każdej bajki zostawia po sobie tropy, okruszki, niteczki, złamane gałązki.

Nie trzeba być Indianinem, żeby odczytać te informacje.

W „tamtych” czasach nałogowo „bawiłam się” w colage.

I każdy colage obok tytułu i tematu głównego ma zdjęcie, które jest dla mnie jak mrugnięcie okiem, znak firmowy.

Niezmywalna pieczęćka z 2009 roku bardziej realna i bardziej odpowiednia do przeczytania w 2019. Deser. Zanęta na przyszłość.

Ten światłocien odmierza upływ czasu i głębokość doświadczeń. Każdy ma swoją mapę. Niektórzy sprawdzają ją w lustrze, co rano.



Są kobiety, zawzięte wojowniczkę, które tak głęboko chowają sekrety, że nawet same przed sobą nigdy nie przyznają, ile je coś kosztowało.

Jednocześnie to „coś” je nakręca, „coś” nie pozwala im zwalniać kroku i każe się podnosić co rano i walczyć o „swoje”.

Długo powtarzane kłamstwo nie staje się prawdą, ale na niektórych może działać jak zaklęcie.

Zaklęcia w bajce są nieodzowne, trzymają na wodzy najtrudniejsze do ujarznienia siły. W tym popularnego wroga – siebie samego.

Bo skoro tak niewiele, jak pokazuje stara szafa, wiemy o sobie, na ile znamy innych?

Czy mógłby być taki urlop pt. Poznanie?

Rozwiąż mnie:

Spróbuj niemożliwego.

Jeśli moda, to zagadka, to z największą przyjemnością podjęłabym się rozwiązania tej:

Fendi, couture, jesień 2019:



Licencja na samego siebie

(Dokończenie ze strony 4)

nie zmieniłem. Jestem jednak po jej lekturze już kimś innym. Poczułem wewnętrznie, że od fazy *oswojonego dystansu* wobec ludzi (początku tego nowego wieku) przeszedłem do fazy *położenia kamienia węgielnego pod jakąś budowlę*.

Przyznacie sami, że... jednak coś się stało. Coś się urodziło. Coś zmieniło... Zobaczyłem w tych młodych ludziach nas sprzed lat. Nas postawionych w tym świecie. Za żadne skarby bym się nie zamienił... otrzymałem zatem swoją licencję na dorosłość, licencję na samego siebie, wreszcie licencję na życie. Żadna z nich nie uprawnia mnie do niczego. Wszystkie te licencje wciąż testuje wiecznie żywe sumienie, które stanowi ich ciągle aktywną pieczęć potwierdzającą jakby każdorazową wiarygodność. I tego chyba najdosłowniej nauczyła mnie książka Małgosi – to bardzo dużo... I zapewne z Wami po lekturze tej książki też tak się stanie...

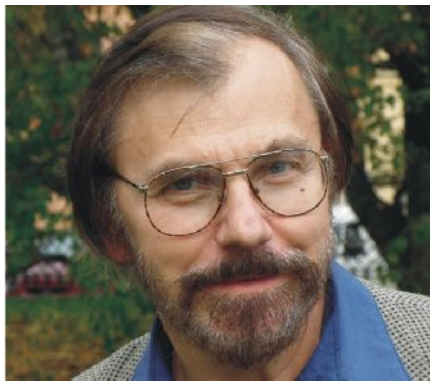
W każdym razie, kończąc ten przydługi tym razem wywód, lektura książki Małgosi Karoliny Piekarskiej „Licencja na dorosłość” to była niezapomniana przygoda. Wywarła we mnie niezatarty ślad. Rozpoczęła coś nowego. W mojej bibliotece ta książka zajmie od dziś swoje zaszczytne stałe miejsce, jako pozycja z tych najbardziej wartościowych, które właściciel księgozbioru powinien posiadać, aby w każdej chwili mógł każdemu wypożyczyć z bardzo dobrą i szczerze polecającą rekomendacją.

I już kończąc, tak absolutnie całkowicie bezpośrednio i szczerze do Autorki... (ale publicznie, odważnie)... ludzie wcale nie są jak fala... (cytat z fragmentu powieści...) Są raczej jak oceany, albo jak chmury, albo raczej jak... stany wilgotności i jej aktywność w ziemskiej atmosferze... ale to już całkowicie... inny problem i tak naprawdę temat na zupełnie inny tekst... czy inną rozmowę.

Wierzmy nadal, że tylko od rozmowy zaczyna się i kończy w zasadzie cały świat.

Andrzej Walter

Listy do Pani A. (134)



Wesołe medykamenty

Droga i Szanowna Pani!

Plener literacki w Staszowie, o którym pisałem Pani w poprzednim liście, wciąż we mnie żyje. Tak obfitował w różne zdarzenia, że nie sposób było opisać je w jednym liście; poza tym w miarę upływu czasu otwierają się zakamarki pamięci.

Jak wspominałem, każdy wieczór kończyło spotkanie z poetami. Dobrze jest słuchać wierszy, popijając wino, poddając się lirycznym nastrojom.

Nie powiedziałem poprzednio o wieczorze Eli Jach i Anny Zakrzewskiej. Obie przyjechały ze Skarżyska-Kamiennej. W tym mieście, w którym przez pewien czas mieszkał Leopold Staff, a więc o pewnych tradycjach, działa grupa poetycka „Wiklina”. I właśnie miałem okazję spotkać te dwie poetki. To różne osobowości twórcze, zupełnie inny warsztat. Grupa jednak nie zobowiązuje do kultywowania tej samej poetyki. Przeciwnie – o jej wartości świadczy różnorodność. Ela Jach jest doświadczoną poetką, pisze bardzo świadomie, nie ucieka od zagadnień nurtujących współczesny świat. Anna Zakrzewska jest może bardziej „łagodna”, liryczna, ale też nie stroni od filozoficznych, egzystencjalnych refleksji.

Dobre wiersze czytała Barbara Gajewska z Piotrkowa Trybunalskiego. Poetka, publicystka, recenzentka. Jeśli znajdzie Pani jej tomik „Taka jedna”, to proszę go przeczytać. Ciekawie słuchało się wierszy Marianny Piotrowskiej z Kielc oraz Lidii Jędrochy. Lidia ma swój język poetycki, własne widzenie świata. Nie została zmanierowana przez młodopoezyckie mody.

Wśród adeptów panują różnorakie snobizmy. Chcą być na siłę „nowocześni”. Jakby się bali mówić wprost, w sposób czytelny, co nie oznacza banalny. Stosują jakieś łamańce, wiersze ich wyglądają jak nieudolnie sklecone potworki. A powiedz o tym takiemu twórcy. Obrazi się, bo on wie lepiej, nawet studia skończył, zjadł wszystkie rozumy i chce ustalać normy poetyckie. Tylko nie zdaje sobie sprawy, że z przedjedzenia już dawno zwymiotował. I najczęściej z tej oto substan-

cji lepi swoje utworki.

Tu, w Staszowie, mogliśmy wysłuchać różnych, lepszych lub słabszych wierszy. Widać jednak było, że autorzy nie są zarozumiałcami; że słuchają uwag, rozwijają się artystycznie i zdają sobie sprawę z tego, jak wiele jest przed nimi pracy.

Przyjemnością było dla mnie poznanie Leszka Lisieckiego. Pisze bardzo dobre wiersze, rozwija się z tomu na tom. Wspomnę Pani o naszej nocnej rozmowie o poezji. Mówiłem dużo o poetyckim warsztacie, odnosiłem się do poezji Leszka. Słuchał przyznając mi rację, a czasami spierał się o wers lub słowo. Nigdy nie odnoszę się do zawartości merytorycznej wierszy. Poeta ma prawo pisać o czym chce, nie oglądając się na przekonania czytelników. Chodzi tylko o to, by utwór był odpowiednio ekspresyjny, celnie zmetaforyzowany, oszczędny w słowach, obfity w znaczenia. Myślę, że Leszek Lisiecki doskonale do tego zmierza. Z uwagą słucha tego, co uważa za istotne. A nawet przykre dlań konstatacje bierze pod uwagę, bo we wszystkim kryje się jakaś cząstka prawdy.

Odkryliśmy jeszcze jedną wspólną dla nas płaszczyznę: Warszawa. Leszek jest miłośnikiem Stolicy, potrafi o niej opowiadać, ma wiele zdjęć, które ostatnio mi przesyła; zdjęć starej Warszawy, której już nie ma, a której tylko pozostałości można odkryć we współczesnym mieście. Z wielką przyjemnością oglądam te fotografie, architekturę, ludzi poruszających się po ulicach, jakże innych od współczesnych. I z żalem konstatuje, że wszyscy oni „zaludniają” dzisiaj cmentarze. Cóż, taki los. Ich i nasz.

Wspominam też ciekawe wycieczki do Szydłowa, Kurozwęk, gdzie tradycyjnie z Benedyktem Koziełem wypijamy piwo. Na naszej trasie był Sandomierz. Piękne, uroczne miasteczko. Jeszcze nie było zbyt wielu turystów. Kilka uliczek zamknięto, bo realizowano zdjęcia do „Ojca Mateusza”. Wokół zebrali się gapie. Bo nie zobaczy w Sandomierzu Artura Żmijewskiego, to tak jak będąc w Rzymie nie widzieć papieża! Odwiedziliśmy też Baranów Sandomierski z pięknym wciąż jeszcze restaurowanym zamkiem.

Takie to mieliśmy atrakcje, bo Staszek Nyczaj bardzo dba, aby uczestnicy pleneru się nie nudzili, poznawali wciąż nowe miejsca, ładowali swoje poetyckie akumulatory. Wszystko, co najpiękniejsze jednak się kończy. Po tygodniu trzeba było już wracać.

Potem wystawa we Wrocławiu „Dni Rembrandta w Ossolineum”. Poszliśmy razem z Anią. Można było delektować się kunsztem jego grafik ze zbiorów Muzeum Książąt Lubomirskich. Choć miniaturowe, a jakże precyzyjne, nastrojowe, powiedziałyby się „żywe” – tak mistrzowsko oddany ruch, gest, mimika, uczucia przedstawianych postaci. W scenarii Ossolineum cała ta sztuka jeszcze zyskiwała na ekspresji. Ekspozycja budziła duże zainteresowanie. Choć trwała tylko trzy dni, odwiedziło ją ok. tysiąca pięciuset osób. Przed grafiką zatytułowaną „Akt siedzącego młodzieńca z jedną nogą wyciągniętą” Ania się pochylała i z nabożeństwem zaczęła się wpatrywać w tę miniaturową grafikę, choć wyciągnięta była tylko noga...

Ogólnie to pocieszające, że taka wystawa w dzisiejszych czasach jeszcze cieszy się powodzeniem; że są osoby w różnym wieku, które doceniają i podziwiają sztukę tego genialnego artysty męskie kształty w wydaniu rembrandtowskim...

Narzekamy często na upadek obyczajów oraz inteligencji. To nie jest do końca prawdą. Oczywiście, są tacy „eleganci”, którzy mówią, że dają jeść psą kotą, służą ludzi, przeciwni są bandytą. W ich pojęciu końcówka „om” brzmi plebejsko. To zupełnie jak w przedwojennym filmie „Manewry miłosne”, w którym nastąpiła zamiana ról – służąca i lokaj (Mira Zimińska i Stanisław Sielański) mieli odgrywać rolę państwa. Wynikł z tego bardzo zabawny dialog, napuszony, pełen „a” i „ę”. A dzisiaj znów mamy powrót do „elegancji” rodem z izby cheladnej. Ale oprócz takich różnych ludzików, często też używających słów, których nie rozumieją (powinno napisać „rozumia”) są jedni i ci, którzy doceniają wysoką sztukę, nie niszczą i nie zachwaszczają polskiego języka. I są błyskotliwi, i mają poczucie humoru.

Kiedyś poszedłem do apteki. Coś mnie podkuśiło, i na pytanie czego sobie życzę spytałem: „czy jest antywkurwidol?” Sympatyczna, młoda pani magister spojrzała na mnie badawczo i z błyskiem w oku odpowiedziała „a może dla pana lepszy byłby niepierdol?” Zaczęliśmy się serdecznie śmiać, a ja wyjaśniłem, że chodzi mi o Magne B6. Byłem bardzo pozytywnie zaskoczony.

Ale świat się zmienia, dąży do prostoty niekiedy tak szybko, że wpada w pułapki prostactwa. Dzieje się to i w poezji, która... Nie, nie będę Pani pisał o tym, bo dość narzekania. A kiedy oglądam zdjęcia młodych poetów, choćby z czasów Orientacji, widzę poważnych ludzi mających coś do powiedzenia, a brewerie, które przecież wyczyniali były swojego rodzaju happeningiem. To byli poeci, a nie subkultura pisząca bzdury. Dawniej dla takich był dostępny parkan czy ściana w kłoczecie, a nie pisma i wydawnictwa literackie. Teraz się wszystko przemieszało, zresztą w całym społeczeństwie, zatarły się kryteria, bo mamy „dymokrację”. Tak więc tępota i głupota demokratycznie, niczym chwasty podsywające się pod szlachetne rośliny, trzymają się mocno.

Taki jest świat. Starsze pokolenia lubią spoglądać wstecz. Za kilkadziesiąt lat Pani tego doświadczy i lepiej mnie zrozumie, o ile nie zmieni się na lepsze. Ale teraz zapamiętajmy o tym wszystkim. Bo ile jeszcze przed nami słońca! Choćby wrześnieowego...

Serdecznie Panią pozdrawiam –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Barbarzyńscy Amerykanie i francuscy krzykacze...

Stany Zjednoczone stają się coraz bardziej osamotnione i niechętnie Europie. Zapewne w zachodniej Europie nastroje anty-amerykańskie są wciąż bardziej powszechne niż antyeuropejskość w USA. Jednak gwałtowność tych ostatnich może zadziwiać. Zdumiewa też paleta emocji, które przy tej okazji się ujawniają: od patosu, po wyśmiewanie, od przywoływania II wojny światowej, po odwoływanie się do odruchów zwierzęcych...

Andrzej Dębowski

Czy prowadzący buńczuczną politykę Donald Trump jest najbardziej powołany do rozstrzygnięcia o sprawie Bliskiego Wschodu? – pytają Francuzi. Od czasów de Gaulle'a, który na złość USA wyprowadził na jakiś czas Francję z wojskowego udziału w NATO, stosunek Francuzów do Amerykanów jest dziwny. Z jednej strony zawdzięczają im ratunek w dwóch wojnach światowych, z drugiej to polityka USA wobec okupowanej przez Niemców Francji pozbawiła ją kolonii, a co za tym idzie, ogromnych dochodów i wpływów, przeważnie politycznych. Do lamusa historii odeszły już marzenia o wielkiej Francji kolonialnej, a to co zostało (głównie jakieś atole potrzebne do przeprowadzenia prób nuklearnych), w niczym nie przypomina Francji, chociażby tej sprzed II wojny światowej. Od tego czasu relacje Francja-USA oparte są na zasadzie „coś za coś”, a

Paryż próbuje obronić się przed amerykańską hegemonią. Z tym, że to francuskie „coś za coś” jest coraz mniej wartościowe i Amerykanie wcale tego nie potrzebują. Tym bardziej, że okres „zimnej wojny” minął i w tej chwili w Europie pojawiły się zupełnie inne priorytety polityczne. Niestety, większość francuskich prezydentów (głównie prawicowych) do dzisiaj wpisują się w gaullistowską tradycję sprzeciwu wobec Waszyngtonu, jako zbyt pobrząkującego szabelką, krytykując przedwczesną logikę wojny i bronią swojej logiki pokoju, tworząc niemal zawsze „koalicję ostatniej szansy”. Ale taką „koalicję” mieliśmy już w 1939 roku, kiedy to zaatakowana Polska przelewała krew i czekała na swoich sojuszników, którzy w tym czasie siedzieli w okopach słynnej linii Maginota (Niemcy i tak obeszli je od północy) i grali w karty. Zresztą nawet później, po sromotnych klęskach zakończonych pogromem na plażach Dunkierki, nic się nie zmieniło. Gdyby nie było inwazji w Normandii, nie wiadomo, jak długo trwałaby okupacja kraju słynącego z szampana.



Rys. Sławomir Łuczyński

Po wojnie przysły wielkopaństwowe ambicje, głównie z powodu braku środków na ten cel. Podobnie jest i dzisiaj, tym bardziej, że po przyjęciu do Unii Europejskiej nowych państw w jakimś sensie zatarciu uległy różnice pomiędzy krajami Europy Zachodniej a Środkowej i Wschodniej. Francja w dalszym ciągu chce powstrzymać amerykańską machinę wojenną nie tylko z powodów prestiżowych. Na tej wojnie Paryż nie ma nic do wygrania, a wiele do stracenia, np. koncesje na złoża ropy w Iraku i poparcie wielkiego sojusznika – Stanów Zjednoczonych – który to sojusznik znalazł sobie w Europie nowego poplecznika – Polskę. Francuskie ustawianie do kąta krajów nowych oraz tych w dalszym ciągu kandydujących do wstąpienia do Unii Europejskiej jest raczej śmieszne i podważa wielkie aspiracje Francuzów do bycia „tatusiem” europejskich „młokosów” unijnych. To ich nerwowe zachowanie spowodowane jest także licznymi komentarzami w prasie amerykańskiej, gdzie pojawiły się artykuły mówiące o tym, że jeśli tylko zajdzie taka potrzeba, Stany Zjednoczone pójdą bronić świata same, nie zważając na brak solidarno-

ści ze strony niewdzięczników. Co to oznacza dla wielkomocarstwowych marzeń Francuzów, nie trzeba nikomu tłumaczyć!

Znamienna może wydawać się dysproporcja między atakami na Francję i na Niemcy – te zdają się być oszczędzane, choć ich polityka jest bardziej antywojenna, a moralne zadłużenie wobec Amerykanów wielokrotnie większe. Krytykowanie Francuzów ma jednak długi tradycję, przywiezioną jeszcze z Anglii przez pierwszych osadników.

Jakbyśmy jednak nie patrzyli na tę całą sytuację, jedno jest pewne: Europa nie będzie już taka sama. Z wielu powodów. Był czas, że ta stara, zwiotczała Europa mogła brać przykład z tej nowej, gdzie prym wiodła Polska. Ale to gdzieś uleciało... na nasze własne życzenie... Miejsce Polski próbują zająć inne kraje, głównie Czechy, Słowacja i Rumunia – nowi, entuzjastyczni sojusznicy, Europa przyszłości. Tę nową Europę pociąga dziś Ameryka, a nie to, co kiedyś nazywało się Zachodem, czyli Francję i Niemcy. Właśnie to powoduje u Francuzów złość, że nie będą w tej grze rozdawać kart. Kraje nowe, chcące jak najszybciej przystosować swoje gospodarki do wymogów unijnych, są na tyle bezkompromisowe, że nie ulegają bezwiednie różnym naciskom. A ich rynki zbytu, a głównie rynki produkcyjne – głównie rolnictwo – są największym zagrożeniem dla Zachodu. Stąd te rozpaczliwe „krzyki” przywódców starej Europy, dostrzegających zagrożenie nie tyle dla swoich krajów, co dla siebie. Szkoda tylko, że tak bardzo w tym wyścigu najbardziej traci teraz Polska...

To nagłe poparcie krajów nowych dla Ameryki spowodowane jest także chęcią pokazania europejskim sojusznikom, że Europa nie już taka sama, że pewne role zaczynają się odwracać, a antyeuropejskość Amerykanów wcale nie musi dotyczyć krajów „odzyskanych” dla świata zachodniego.

Nie wiadomo jednak, jak potoczą się dalsze losy Europy i czy my utrzymamy amerykańskie poparcie jeszcze długo? Czy to zderzenie interesów nie oznaczać będzie końca zjednoczenia Europy, które tak pięknie się kiedyś zaczęło?...



Rys. Sławomir Łuczyński

Józef Baran

Spadając, patrzeć w gwiazdy (42)

(fragmenty)



Tymczasem moja 97-letnia mama czeka już tylko na jedno: na listonosza, który przyniesie jej emeryturę. Pieniądże dołoży do tych oszczędności, które uzbierała na nowy grobowiec. Ma 3 tysiące. Potrzebuje jeszcze 2 tysiące, więc musi żyć co najmniej 4 miesiące, żeby uzbierać 5 tysięcy...

Mój pięcioletni wnuk Jasiu zaś nie śpi, nie je, tylko wyczekuje na prezenciki urodzinowe od ciotki Ewy, babci Zosi i tych, którzy się pojawią jutro, żeby być świadkiem zdmuchiwania przez niego pięciu świeczek na torcie. Za oknem znów prószy śnieg, wiosna nie może się wykokosić, mimo że dziś już 19 marca, moje imieniny.

Nowatorzy z Lascaux

Zwiedzanie Galerii Malarstwa XIX wieku w Sukiennicach. Kustoszka, oprowadzając nas, chwali tych malarzy polskich, którzy byli „nowocześni” i starali się dorównać artystom Zachodu, za którymi i tak pozostawali w tyle. Pytam, czy oznacza to, że nie mieliśmy w ogóle malarzy oryginalnych, samoswoich, tylko samych naśladowców i kontynuatorów?

Malarz Janusz Trzebiatowski ripostuje ironicznie, że malarzem na wskroś oryginalnym i niebiorącym od nikogo był autor pierwszych malowideł i rysunków na ścianie jaskini w Lascaux.

Ukazał się mój kolejny artykuł „Singapurski model szczęścia” w kolorowym, radosnym magazynie „Poznaj Świat” którym zarządza pani Kasia Rójek z Gdańska. Zrobiła mi przyjemność, pisząc do mnie sympatyczny list na temat mojej książki „Podróże z tej i nie z tej ziemi”.

Oglądałem interesujący film o Indianach Guarani w Ekwadorze, Natknąłem się na nich

też półtora roku temu w Brazylii. Patrząc na ich tańce rytualne i życie we wspólnocie, myślę o tym, jak bardzo oderwali się od Natury, Wspólnoty i rytuałów, stawiając na tak zwane wolne, indywidualne „ja”. Zastanawiam się, czy ten europejski „jaizm”, na którym ufundowane są cywilizacyjne prawa jednostki, nas uszczęśliwił. Wyłamaliśmy się z tańczącego w rytm Natury koła rytualnego, wyodrębniliśmy się jako samotne monady wynieśliśmy swoje „ja” na parnasy. Ale musieliśmy też wziąć w pojedyncze ręce odpowiedzialność za to własne, „niepowtarzalne” „ja”, które czuje się często samotne w szczerym polu, porzucone i zagubione w Wielkim Kosmosie. Gdy tymczasem oni – w maskach, anonimowi, czuli się może bezpieczniej w rytualnym kole.

czasem czujesz się niebożątkiem
na tym może
nie-bożym świecie

wypędzonym
spod ochronnych skrzydeł
anioła stróża

budzisz się
w szczerym polu Kosmosu
samiuśki jak palec
bez ojca ziemskiego
Niebieskiego
(podobno umarł)

na tej planecie-igle
zagubionej
w stogu gwiazd

wiatr ci w oczy wieje
w sercu ciemno że oko wykol
i nigdzie nie znajdujesz schronienia

Klucz do poezji starego Miłosza

Czytam Miłosza. Poza pojedynczymi wierszami z tomów „Ocalenie” i „Miasto bez imienia” najbardziej przemawiają do mnie wiersze ostatnie, ze zbiorów „To” i „Druga przestrzeń”. We wczesnych utworach Miłosza razi mnie kaznodziejski, mentorski ton, który miejscami przeradza się w uczoną retorykę. Pierwsze wiersze katastroficzne, globalne, o wszystkim i niczym, zupełnie pozbawione waloru osobistego. Lubię, gdy wiersz jest dwuwymiarowy: osobisty i zarazem ogólny – uniwersalny. Retoryka poetycka, wykłady, traktaty pozbawione waloru osobistego nużą jak kazania księży: jałowe i zbyt zawieszane w abstrakcji, na poziomie ogólności. Lubię, gdy ogólność wynika jak owoc z drzewa, jak drzewo z korzeni – z poszczególności, z indywidualnego doświadczenia, z „prywatnej” ekspresji.

Sam Miłosz nie cierpiał „życiopisania”, ale ostatnie jego liryki mają charakter „znania, spowiedzi, i jakby zaprzeczają Miłoszowej idei poezjowania. Ujmują niesłychaną szczerością, wzruszają tak, jakby Miłoszowi

po Noblu już nie zależało na żadnym erudycyjnym kamuflażu.

Ten Miłosz współodczuwający z „braćmi mniejszymi” Miłosz empatyczny, Miłosz współczujący z pojedynczymi bliźnimi (a nie z Ludzkością) wydaje mi się najbardziej przekonywający. Tamten – pouczający, profesorski, raził przemądrzałością i popisowywaniem, mimo że warsztat poety imponujący.

W ostatnich wierszach, których mottem mogłby być krótki utwór: „Jeżeli” –

Jeżeli Boga nie ma,
To nie wszystko człowiekowi wolno.
Jest stróżem brata swego
I nie wolno mu brata swego zasmucać,
Opowiadając, że Boga nie ma.

– Miłosz jest mi najbliższy.

Przepiękne jest to jego sformułowanie określające Kościół jako wspólnotę bliźnich litujących się nad sobą: „Człowieczeństwo oznacza zupełną obojętność wśród galaktyk / Dostateczny to powód, żeby wspólnie z innymi wznosić świątynie / niewyobrażalnego miłosierdzia” („Religię bierzemy”).

Stary Miłosz uzewnętrznia się (pokazuje swoje miękkość, wewnętrzną, słabiznę) mocniej od Herberta, schowanego za aksamiitnymi metaforami, i Wisławy Szymborskiej, schowanej za zasłoną z uśmiechów i tiulów. Miłosz daje z siebie najwięcej, czytając jego wiersze, odczuwa się to powolne odkrywanie Miłosza w Miłoszu aż do trzewi, aż do znudzenia, bo w końcu jego jeremiady, skargi na ograniczoność ludzkiego poznania, na mizerię ludzkiego bytowania mogą miejscami nużyć...

A swoją drogą to ciekawe, że nie ma w twórczości pana Czesława żadnego erotyku czy liryku miłosnego... Poza – oczywiście – pięknym trenem „Orfeusz i Eurydyka” który czytałem wczoraj na tłumnych spotkaniach w Przeworsku i Jarosławiu.

Jest Rok Miłoszowski, więc wszyscy jak Polska długa i szeroka pasażują na Miłoszu. W tym także i ja zaproszony przez Elę Tracz, dyrektorke biblioteki w Jarosławiu. Mieszkałem w klasztorze benedyktynek, jałem pysznego łosia oraz piłem finlandię na konto pana Czesława.

Wynalazek diabła

„Wszystko, co dobre na świecie, to wynalazek diabła, piękne kobiety, wiosna, pieczony prosiak, wino. Bóg zaś stworzył mnichów, napor z szafwii, posty i brzydkie kobiety. Niech to licho porwie!”

„Garść prochu, która kiedyś czuła głód, śmiała się i całowała. Grudka błota, która płakała. A teraz? Co za diabeł zsyła nas na ten świat i co za diabeł zabiera?”

(cytaty z „Greka Zorby” Nikosa Kazantzakisa)

cdn.

Detale miłości

Problematyka miłości, o której już tyle napisano w dziejach ludzkości, znalazła ciekawe i oryginalne ujęcie w tomiku wierszy **Ireny Kaczmarczyk** – „intymnie”. Są to utwory osobiście liryczne, a ich przedmiotem są nie tylko kochankowie, ale właściwie cały nasz świat, w którym dzieje się miłość. Autorka dąży do bardzo detalicznego jej opisu, nawet na poziomie przysłowiowych „kwantów miłości”, pod działaniem których mimowolnie i nieustannie pozostajemy. Możemy sobie tego nawet nie uświadczać, bo rozgrywa się ona w ludziach, pomiędzy nimi, ale i w ich świecie życia i bycia. Nie ma też wątpliwości, że mobilizuje to uczucie cały nasz aparat percepcji na wszystkich poziomach jego wrażliwości emocjonalnej, ale i intelektualnej.

Detale miłości są tu przez Kaczmarczyk postrzegane, dalej rozkładane na coś podobnego kwantom emocji, by wreszcie zostać złożonymi w unikatową całość, która bywa niekiedy niedomknięta. W wierszu bez tytułu otwierającym tomik dowiadujemy się, że poetka tak widzi ten kontakt emocjonalny z człowiekiem i jego otoczeniem, pisząc: *lubię gdy Twoje słowa / jak biedronki wędrują po / niebieskich żyłkach / moich dłoni // gdy zatrzymują się / w zagłębieniu łokcia // płoną moje ramiączka*.

Miłość bowiem ukazuje się jej jako wielorakie zjawisko i ma charakter wszechobecny. Przychodzi ze wszystkich stron świata i umacnia kochanków w jej akcie, a mogą to być: deszcz, wiatr, słońce, plaża, zapach oceanu, łąka pełna kwiatów. W wierszu pt. „Na łące” czytamy: *nasze usta / tracą rozsządek // w ramionach łąki / niesiesz mnie / na sam szczyt* i jest to chyba najbardziej reprezentatywny mini-utwór tego zbioru poezji, wielokrotnie nagradzany. Wszystkie te uniesienia poetki pozwalają jej: „Smakować czas w objęciach ciszy”. Spełniona miłość przecież niesie ludzi na „boski Olimp”, przysłowiowy Eden, zaś jej brak, owocuje niepokojem egzystencjalnym i utratą sensu życia, i dlatego nieustannie należy dbać o krzewienie się tego fundamentalnego uczucia.

Przeżycia erotyczne zostają tu konsekwentnie przenoszone na całość naszej rzeczywistości, która przyjaźnie wspiera rozwijające się uczucie. W „Lecie w macierzankach” dowiadujemy się, że: (...) *Milczysz zalotnie i wiatr tylko / Porusza chmurką parasola / Cykady świerszczy nas uwodzą / I zapach siana w sierpniu stogach*.

Miłość również zostaje wbudowana w reżimy wpływu kolejnych dni, ale i pór roku, które nadają jej określony koloryt i budzą bukiety swojskich zapachów. Słysząc w niej muzykę Straussa, ale i utworów poetyckich J. Tuwima, B. Leśmiana, M. Grechuty i J. Kornhausera. Jak w poprzednich tomikach Kaczmarczyk pełna jest podziwu dla *genus loci* Krakowa, ciasnych uliczek, plant, po których spacerują kobiety w długich sukienkach, skrywane zapiętą na guzik / tajemnicę ciała. Poetka dodaje w wierszu bez tytułu, iż (...) *Lubię z Tobą zapalać latarnie / Kiedy Kraków*

gołębie usypia / Zmierzch ma zapach zielonej herbaty / Gdy mnie szeptem jesiennym dotykasz.

Jak widać każdy z utworów jest przesiąkniętym klimatem głębokiej liryki osobistej poetki, co powoduje odczucie, że kolejne utwory stanowią pewne continuum emocjonalne, poszerzające fenomen miłości na cały świat.

Nie ulega wątpliwości, że Irena Kaczmarczyk wykorzystuje tradycyjne toposy poezji lirycznej, przepełnione duchem dionizyjskiego uczowania, w które wplatane jest uczucie miłości między kobietą i mężczyzną, a zadaniem tych wierszy jest resetowanie, ale i przedłużanie żywotności tego typu emocji. Miłość bowiem ukazana jest tutaj jako „zjawisko falowe” gry sił, bo po każdym ich naporze pojawia się uspokojenie, ale i oddalenie, które domaga się kolejnego „wzburzonego falowania”, by ukazać nowe wymiary tego fundamentalnego uczucia, a nawet gry sił kosmicznych – sympatii i antypatii w świecie, o których pisali już starożytni filozofowie. Udaje się również poetce unifikowanie kochanków z wersami wielu wierszy, by uzyskać pomiędzy nimi „totalną bliskość”. W pointach wielu utworów pojawiają się oksymoroniczne wersy, ale i przewrotne w duchu haiku, co podnosi intelektualny wymiar emocji związanych z ich odbieraniem i przeżywaniem.

Na zakończenie tomiku poetka zamieściła mini-utwór pt. „Recepta”, który poniekąd jest drogowskazem na życie przepełnione miłością, w którym czytamy: *noś na rękach / szczęśliwe chwile // kochaj*.

prof. Ignacy S. Fiut

Irena Kaczmarczyk „intymnie”. Projekt okładki i obrazy: Renata Kulig-Radziszewska. Wydawca: Krakowski Oddział Związku Literatów Polskich, Biblioteka Krakowskiego Oddziału ZLP, nr 20. Kraków 2019, s. 112.

Rozdrożami (do) modlitwy malowanej trzcina

Odrębność sztuki poetyckiej **Adriana Jarosza** widoczna jest gołym okiem. Wystarczy spojrzeć na kształt jej tomików (kwadraty). Z okładkami jak drzwi baśniowego świata zapraszającego w głąb doznań i wartości estetycznych. Chcą porwać czytelnika w tajemnicze światy poetyckie, pełne oryginalności i świeżego spojrzenia ze spontanicznością zapisu podbudowanego autentycznością przeżyć autorki. Ale żeby to osiągnąć, trzeba fundamentu w zainteresowaniach historią,

regionalnym folklorem. Podobno wpływ na to miały prof. Teresa Smolińska i prof. Dorota Simonides. Ale to tylko odgrzebanie biblijnych talentów, zakopanych w urodzajnej glebie Śląska Opolskiego, gdzie poetka się urodziła i pobierała edukację. Najpierw w nyskim „Carolinum”, potem w murach Uniwersytetu Opolskiego.

To pierwsze wejście w powierzchnię graficzną pcha w głąb zagadnienia do wiersza „Nad Komańczę”:

*pani Mario nad Komańczę jesień się unosi
a góry opornie tłoczą się w wiersz*

Pisząc te swoje przemyślenia; na ogromnym, bukowym, rzeźbionym stole. Przez okno w oddali widzę porośnięty chaszczami pas startowy radzikowickiego lotniska. Na nim kiedyś lądował popołudniem samolot z więźniem reżimu Prymasem Stefanem Wyszyńskim. W samochodzie czekano wieczora, by przewieźć skazanego okrężną drogą przez Głuchołazy do miejsca odosobnienia w prudnickim klasztorze – lasku. Ada to miejsce zna. Bywała tam niejednokrotnie. I jakby duchowo kontaktuje się z żoną piewcy Bieszczadów w kolejnym miejscu uwięzienia wielkiego Polaka. Taki dar łączenia historii, wiary i tęsknoty posiada niewielu poetów. Mówi się o nich – naznaczeni.

*Boscy śpiewacy przybywają
czasem z odległych okolic*

Poeta wieczny pielgrzym, który samym sformułowaniem pytania potrafi wywabić z rzeczywistości zamierzone odpowiedzi. Nie zagubi drogi – choćby cierniem była usłana – i nie skorzysta ze skrótów, bo taką sobie wybrał, idąc w paradoks i baśniowość. Poezja Ady Jarosza jak opadająca mgła nad połoninami, ukazuje niespodziewane obrazy i dźwięki:

*Na mietlicowej łące przysiadł dziad jagodowy.
(...)
Skrzył się w trzcinach zdrewniałych
prosiący kwik wodnika, bo chruściel
płochy jak nimfa błotna*

To przecież śpiew barda opowiadającego historię miejsc jemu bliskich, gdzie przodkowie uprawą roli, pasterstwem, bartnictwem, ciesiołką i karczowaniem lasów, budowali egzystencję pokoleń. Poprzez spłot tragicznych okoliczności i zaliczenia do narodowości ukraińskiej (Bojków, Łemków) zniknęli bezpowrotnie z ziemi ojców. A świadectwo bytności na tych terenach zatarł dziki drzewostan, gdzieś tam pozostawiając tylko ruiny cerkiewek, zmuszające krzyże i czeluście studni.

*W trawie nieśmiało kwitnie cembrowana
studnia,
obok niej bluszcz, swojski dusiciel,
zmysłowo oplata szerniały pniaczek,
a tuż za nimi schodki piwniczne
z odcisniętym śladem boczkora.
Tu stała łemkowska chyka,*

(Dokończenie na stronie 18)

Rozdrożami (do) modlitwy malowanej trzcina

(Dokończenie ze strony 17)

*jedna z wielu w tej osadzie.
Mieszkał w niej Semen.*

*(...)
Tuż za wsią cerkiew niewielka,
niby gospodarz, co po wchodzie dogląda drób
pstrokaty,
wśród krzyży cmentarnych stała.
Dostojna, wiekowa, powszechnym szacunkiem
darzona,
z językiem drogi wydeptanym przez
bezimienne ślady stóp.*

Wracają do mnie strzępy rozmów tych przygnanych zza Buga i osiadłych na „dzikim zachodzie” i tych wypędzonych za Odrę.
– Młody co ty rozumiesz, ty z centrali!
Utracone Jeruzalem nierozzerwalną częścią naszej egzystencji.

*zawieszani na drzewach budujemy domy bez
podstaw*

A może zamiarem Ady Jarosz w „Rozdrożach” było odtworzyć wielowiekowe trwanie ludów, żyjących zgodnie na tym niewielkim terenie? Przytacza fakty, daje szczegółowy obraz obyczajów:

*W niedzielę pod remizą
wieńce dożynkowe
odmawiały modlitwy dziękczynne
pszenicznym szelestem.*

Tego jeszcze nie wiem. Ale powrócę do tej książki jesienią. W czasie szarugi liryki bardziej przemawiają do mnie swoją głębią. Wyłaniający się obraz pozostawia ślad w mojej świadomości. Mogę go przywołać po latach.

Kartkuję po raz wtóry tom *Modlitwy malowane trzcina*. W obszernym posłowniu omawiającym poezję Ady do najdrobniejszego ziarenka maku Magdalena Węgrzynowicz-Plichta napisała: „(...) już od samego początku powstawał jako dzieło w miarę jednorodne z wybranym tytułem dla całości i jako kontynuacja wcześniejszych zainteresowań Poetki. Przekazuje je w najbardziej adekwatnej formie literackiej, która odwzorowując twórczy zamysł, czerpie z tradycji i inwencji (...) uwidoczniło się upodobanie Autorki do narracji, zastosowanej w dłuższych utworach wierszowanych, posiadających fabułę i do pieśni, która stwarzała Poetce możliwość ukazania całego spektrum uwrażliwienia na różnoraki los człowieka i kondycję wszechobecnej przyrody”.

*na ganku przed domem stół
przy nim ci którym dawano
wygrano requiem – sączą
chrzcielną lub weselną
wódkę i mają twarze
bez wyrazu*

Esencją tej poezji jest dom rodzinny z charakterystycznym ciepłem rodzinnym, nagromadzonym przez pokolenia w latach dobrobytu, ale i nieszczęść, które rodziny konsolidują. Łzy to najlepsze spoiwo.

*toczy się koło młyńskie
miełe sny dobre i te
w których łza za łzą*

Nie darmo poetka używa rekwizytów: stół, chrzcielna, weselna, dotyk drzwi, ganek. To ciepło roztacza się na okolicę bliższą i dalszą. Kolejni członkowie rodu opuszczają dom, budując własne gniazda. Taka kolej rzeczy. Rodzą się następne pokolenia i następuje w zaczarowanym kręgu trwania, gdzie pory roku wyznaczają rytm pracy i połowicznego odpoczynku – przednówek, zima. Ważne, że Ada wiele miejsca poświęca człowiekowi; zdawałoby się zwykłemu, zapracowanemu, zawsze żyjącemu w zgodzie z przyrodą, która – nawet nie zdajemy sobie sprawy – wyznacza nasz byt. Jestem pod ogromnym wrażeniem znajomości tematu i realiów. Owocowanie to klucz tej poezji, jednakże szeroko rozumiane:

*rankiem przy pańskim koszu znajdowaliśmy
kawał słońca pachnącego miodowym
bochnem*

*(...)
Była w niej pogodna wdzięczność
za miękką skórę traw, za tańczące
krople dżdżu, rozchichotane rzekotki,
smutne oczy brodzieców łąkowych.*

Przechodzimy teraz do ewangelicznego początku świata, widzianego poprzez Dyduka lirycznego, bohatera poezji Ady Jarosz. Można podeprzeć się Kabałą.

*Prosił o wodę przejrzystą, czystą
niczym galilejskie wino i o ludzką
życzliwość (bez niej sny były szare).*

*Zdumiał się ikonostasowy poczet,
bo nikt tak się nie modlił.*

*Rankiem święci zobaczyli świat
taki, jakim był w pierwszym
tygodniu stworzenia.*

To głos wewnętrzny poetki; oczyszczający i życiodajny. Wołający do czytelnika o chwilę zastanowienia się nad swoimi korzeniami. Bo w obecnej dobie ogłupiających mediów wielu ludziom wydaje się, że świat istnieje tylko dziś, a przyszłość widzą w monitorze komputera. Kiedy brakuje połączenia z Internetem, ogłaszają upadek cywilizacji:

*Śmiali się, że Dyduk ślepy i dumny,
(...)
Nie widzieli gniazd niebożąt*

*skrytych w gęstwinie lipowych
liści, mysięgo wiecu w starym
młynie, w którym koło wciąż
odmierzało chlebowe wory
ani tego, że cmentarny krzyż
kłaniał się jak stara kobieta
przygarbiona ciężarem bólu.
Won! – krzyczeli*

Wszędobylski czas, którego nie potrafimy podporządkować sobie. Jest naszym panem od narodzin po śmierć. Trafnie to oddają słowa liryka:

i po mnie przyjdzie

*jeszcze nie wiem
jak będzie wyglądał
(...)
po raz pierwszy spojrzę
w jego zimne oczy
zapewne będę się opierał
zapierał sam siebie
odejdziemy*

Pozostanie tylko słowo.

Ada Jarosz to poetka dużej kultury, potrafiąca trafić bezpośrednio do serc ludzkich. A poetów z taką umiejętnością niewielu.

Jerzy Stasiewicz

Adriana Jarosz, *Rozdrożami*. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2014 s. 76.

Adriana Jarosz, *Modlitwy malowane trzcina*. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2018 s. 84.

Poezja inspirowana hipotezą sawanny

Inspiracje poetyckie właściwie dzisiaj nie znają granic. Tak się dzieje także w tomiku **Jadwigi Maliny** – „Czarna załoga”, który jest poniekąd rekapitulacją poetycką naszej wiedzy dotyczącej antropogenezy naszego gatunku ludzkiego, który pojawił się sukcesywnie około trzech milionów lat temu na naszym globie. Autorka rozpoczyna tomik utworem pt. „Lucy schodzi z drzewa”, w którym czytamy: *Ach Lucy, między nami trzy miliony lat, / A twoje czterdzieści siedem kości jak SMS z wczoraj: / „W dolinie cisza Wszyscy śpią. / A ja właśnie schodzę na ziemię, by zostać”.*

Tak sobie poetka wyobraża pojawienie się „pierwszej kobiety – zwanej przez badaczy Lucy – od której w długim procesie ewolucji rozwinął się człowiek, gdzieś na sawannie w Afryce koło jeziora Victoria.

Kolejne utwory starają się jakby śledzić

ten proces, z którym łączył się systematyczny podbój naszej planety przez człowieka, decydujący o zmianach wśród populacji innych istot żywych, głównie zwierząt i roślin, powodując zmiany ich wyglądu, ale i wymiaru, bo nie wytrzymały konkurencji z jego strony. Proces ten trwa do dzisiaj, a nasze sawannowe nawyki dalej funkcjonują w ludzkich sposobach istnienia na Ziemi. Nawet kolejne cywilizacje w różnych częściach świata się ich nie wyzbyły. Boimy się węzów i drapieżników i ciągle nam smakuje mięso z naszych „braci mniejszych”. Ślady naszej agresji i samolubności zostały na malunkach w jaskiniach i petroglifach. Autorka inspirowana obrazem Robineta Testarda „Fantastyczne zwierzęta Egiptu” w wierszu „Czarna załoga”, od której zbiorów nosi tytuł, pisze: *Jeszcze całkiem słusznie wokoło. W paszczach. Płetwach. / Jednorogach. Jest kamień na kamieniu. Zamek w dali. / Kopytko na nogach. Ale już płynię, Już podpływa. / W mig wszystko rozpieprzy. Czarnego statku załoga.*

Nie ulega wątpliwości, że jest to kluczowy utwór stanowiący klucz do kodów, którymi posługuje się autorka, kiedy przygląda się z ewolucyjnej perspektywy miejscu człowieka na Ziemi w jego dziejach. Dramatycznie opisuje losy prakolczatki, foki – mniszki antylskiej, delfinów, pszczoł, papug z dżungli dorzecza Amazonki, ale i małp.

Nawet i dzisiaj, wydawałoby się cywilizowanym świecie, nasz stosunek do „braci mniejszych” bywa okrutny. W wierszu pt. „Pies u budy”, czytamy: *Mam dwa imiona. Burek i buc. / Mieszkam w błocie. / W jego oku kręci się człowiek. / Dobrodziej. / Grusza kwitnie. Rozpada się biało.*

Widać iż autorka ma detaliczny aparat postrzegania i znakomicie odzwierciedla fakt, że i człowiek dzisiaj postępuje jak ten przysłowiowy praczłowiek uformowany na sawannie. Ani kultura, ani świadomość deficytu natury nie zmusza go do pogłębionej refleksji i zachowuje się jak przysłowiowy „pan wszelkiego stworzenia”. Nawijając do przekazu obrazu Jacopa Bassana w wierszu – „Wejście zwierząt na Arkę Noego” poetka pisze: *Podążajcie. Śpieszcie się. Nie oglądajcie. / Świat, jaki znacie, skończył się. / Niech człowiek kłiwie was podgląda. / Niech mu się za wami „cni.”*

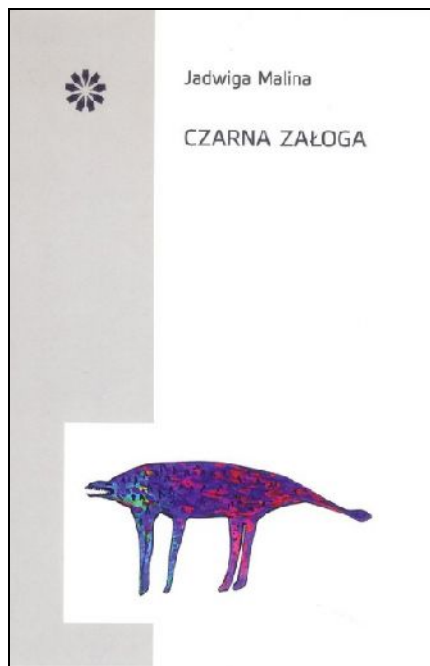
W tym dialogicznym utworze widać, że autorka nie ma złudzeń co do zachowań ludzkich. Przecież mówią jedno, a robią zupełnie co innego, pozostając podświadomie na wodzy swej pierwotnej natury plejstocenijskiej.

W dwóch wierszach: „Spitzbergen” i „Czarnobyl” poetka kreśli krajobrazy tych miejsc, w których ukazuje się owa pierwotnie prymitywna natura człowieka. Niepokoi ją świat ukazujący się w zderzaczach hadronów na poziomie „boskich cząsteczek”, o których wiedza może i tam popchnąć pierwotną naturę ludzi, ale również loty samolotami wokół Ziemi, by i jej coś nie odpadło. Ciągłe podejmowana jest kwestia wszechogarniającego konsumpcjonizmu człowieka, jego „wielkiego żarcia”, nawet tych mięs i pokarmów, które są produkowane przemysłowo i nasycone chemicznymi truciznami typu

utrwalaczy i konserwantów. Do tego przeraża poetkę bezgraniczna chęć posiadania i proponuje, by przejść na stronę „nieposiadania, które daje „radość wielką”, bo posiadanie uzależnia i zniewala. Chciwość uważa za główny grzech ludzkiego bytowania i nawołuje do poszanowania prawa dotyczącego ochrony naszego środowiska życia. Jest przeciwna wszelkim formom wyzysku, ukazując tragiczne jego skutki np. na plantacjach bawełny w Afryce, a w konsekwencji pojawiające się tam „epidemie głodu” i hipokryzją pomoc tubylcom. Świat bowiem zamieniamy w „ludzkie zoo”, szerzy się niedostatek na pokaz i konsumpcja na pokaz, tak że nawet „Duch Święty płacze”. Z kolei najgorszą sytuacją jest wojna, działania zmilitaryzowane i walka o rzeczy oraz bogactwa, bez których można się obejść. Na wojnie przecież tracą zarówno pokonani, ale i zwycięzcy. Następuje tu również przewartościowanie kategorii pojęciowej – „niehumanitarne”, która okazuje się mieć pozytywny sens, uwalniający od naszego egoizmu genetycznego oraz memetycznego. W wierszu zamykającym tomik – „Synu człowieczy” poetka przeprasza odkupiciela za ten nasz świat i pozostawia wszystkie podniesione kwestie naszej natury otwartymi, sugerując pewnie ich przemyslenie, co warto uczynić.

Warto zatem zwrócić uwagę, że logos tego dyskursu poetyckiego został wypracowany w oparciu o hipotezę sawanny, sformułowaną w roku 1980 przez G.H. Oriansa i J.H. Heerwagen, ale rozpowszechniona i sfabularyzowana została przez Desmonda Morrisa w jego trzech książkach: „Naga małpa”, „Zachowania intymne” i „Ludzkie zoo”.

prof. Ignacy S. Fiut



Jadwiga Malina, „Czarna załoga”. Posłowie: Wojciech Ligeza. Rysunek na okładce: Piotr Żądło. Wydawca: Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Krakowie, Krakowska Biblioteka Pisarzy Polskich, tom. 34, s. 66.

Próba wyjścia z sekretnej raju

Smutek wywołany wygnaniem z raju jest w nas.

J.G.

Z całą przekonaniem twierdzą, że ostatnio wydana książka poetki **Danuty Perrier-Berskiej** „Wychodzenie z raju” jest wyrazem bolesnego rozdarcia pomiędzy „sekretnym rajem”, a „piekłem” zastanej rzeczywistości. Buntem przeciwko utraconej ułudzie piękna miłości i bezpieczeństwa. Ale uroda, tych wierszy (znakomita) zyskuje wyrozumiałość i usprawiedliwienie. Próba wyjścia z sekretnej raju obezwładnia (jest to tylko próba) inne zmysły. Zdajemy sobie sprawę z upływu czasu i delikatności uczuć. Bo czym jest ten czas w człowieku, ten czas w kobiecie, która żyje kalendarzem natury? Każde zdarzenie zakończone przed sekundą i tak już nie należy do nas. A jeśli tak jest, to ten ludzki czas wewnętrzny, jest czasem symbolicznym, który musi nas spokrewniać z naturą...

W 2017 roku autorka wydała książkę poetycką składającą się z dwóch części – opatrzoną odrębnymi tytułami: „W windzie Pana poznałam” i „Czy nam to się śniło” (jest to epitaforium po śmierci męża Antoniego – kiedy to ból jest jak płomień nienawiści). Życie, śmierć i nicość, są nam znane jako pojęcia i przestrzenie rozważań poetyckich. Na okładce twarze obojga (mąż i żona). Pamiętam, że podobał mi się sposób w jaki Antoni patrzył (było to na peronie dworca krakowskiego na chwilę przed odjazdem pociągu), to była zasługa oczu, otwartych na świat, zdumionych, opromienionych zagadkową radością, zapowiadających twarz pełną woli i energii. Wystarczyła chwila, żeby czyjaś twarz na zawsze wryła się w pamięć... Może słowa poezji mogłyby to wyrazić głębiej. Poezja jest czymś więcej niż tylko kwestią języka zgodną z kanonem określonej estetyki. „Autorka posiada rzadką, a co za tym idzie bardzo cenną, zdolność zawierania maksimum treści w minimum słów” – napisał Henryk Tur w „Dzienniku Polskim”. Ingerując w rzeczywistość – buntem przeciwko bezradności, wobec przemijania poetka sprawia wrażenie szczerego rozmówcy. Wyczuwam bezpośredniość uczuciową, która ocala osobowość na przekór przeciwnościom losu.

I taką rolę powierza poezji, która mitologizuje i utwierdza poczyny człowieka. Ale wróćmy do „Wychodzenia z raju”. Raj rozumieć jako eksplorację świata zewnętrznego – jako wielką wyprawę do wnętrza nas samych. Ta poezja traktuje o sprawach wysokiego lotu – jakby autorka chciała przybliżyć nam niebo i mieć je w zasięgu ręki (może wystarczy wyciągnąć rękę, żeby dotknąć

(Dokończenie na stronie 20)

Próba wyjścia z sekretnej raju

(Dokończenie ze strony 19)

obłoków). U Pascala jest taka myśl: „strzeżmy się upadku idąc pod górę, a zyskując nową łaskę, zachowujmy dawną”.

Czy można prościej? W poezji Perier-Berskiej z łatwością dostrzegamy niepokój, być może dlatego, że istnienie nie jest niczym stałym. Przechodzimy od istnienia do nicości i z powrotem – to nic innego jak pozostanie w pamięci kogoś drugiego – odbicie się w jego świadomości. Kiedy spróbujemy stworzyć sobie (choćby namiastkę raju na ziemi) zdajemy sobie sprawę, że to na ogół trudne. Słyszałem, że w zbadanych rejonach snu jest ów sekretny raj. To do niego znajdujemy drogę co wieczór. Poetka postanowiła zbudować taką skalę emocji i napięcia wyobraźni, żeby świat przez „wypunktowanie” w nim istniejącego piękna, stał się możliwy do współistnienia!

*przyodziała – nagość
żeby jego oczy
nie pożałowały więcej
(...)*

*on w tym czasie
zapuluje na węża w ogrodzie
wyrwie mu język
żeby nie pluł jadem*

(wychodzenie z raju)

Więź ze światem pełnym wstrząsów i olśnień wzmaga napięcia i uwzniośla dramaty świadomości. Istnieje wtedy, kiedy próbuje zatrzymać chwilę w błysku spojrzenia. Choć chwila stanie się przeszłością – jak wiemy czas nie jest dowodem nieśmiertelności. Twórczość – to jedyny sposób zatrzymania czasu – nie podobna nie dostrzec owych niuansów biografii tworzących skalę dramatu poetyckiego. Od pamięci ucieczki nie ma, tak jak nie ma odwrotu od siebie – nie sposób wyjść poza granice własnego istnienia – czy własnego domu:

jestem domem

*do którego przez otwarte okna wpadają ptaki
wspomnień karmię je drząc w obawie aby nie
odfrunęły
(życie)*

Oglądamy świat rozumując jakby inną częścią samego siebie – świat nas otacza, ale mamy także świat wewnątrz, nosimy w sobie świadomość świata, bez której bylibyśmy zdani na łaskę losu „dlatego idę / przepelniona Tobą / inaczej byłabym / pustym dzbanem”. Książd Janusz Pasierb napisał: „każda miłość to miejsce zupełnie osobne / pokój ulica miasto lub kontynent”. A jednak poezja Perier-Berskiej jest zapisem wiedzy gorzkiej – to typ gorzkości o której mówi się, że jest się skrzywdzonym przez los. Jak wobec

tego znaleźć środek znieczulający – bo miłość ubarwiona była pejzażem gorących wzruszeń, sensualistyczna i intymna, radosna i... rozżalona:

*noc jest drzewem
które mnie przygniotło
w ustach mam smak kory
w oczach rudość jesiennych liści
nie czekam na śpiew ptaków
na Ciebie też nie czekam
teraz Ty czekaj na mnie*

(bez Ciebie)

Odległość – ten dystans, przestrzeń dla wolaających do siebie jest sprawą kruchą – jest w zasadzie wymiarem, także kryterium każdego istnienia „poezją” według którego powinno się to istnienie osądzać. Można też w zmiennej urodzie świata dostrzec to, co jest i piękne i groźne jednocześnie. Można zmagać się z treścią, ze znaczeniem materii – z jej gigantyczną amorficznością, która przybiera tylko na chwilę różnorodne formy – do tego stopnia nietrwałe, że mogą się wydawać pozorne. Tylko śmierć: niepokojąca, ciągle rozpamiętywana, deliberowana, konstatawana...

Sprzymierzeńcem poetki jest zmysł „plastyczny” świadome posługiwanie się piórkami (pisze podziwiane wszędzie ikony) pretekstem do rozważań na różne tematy stają się teksty piosenek pisane dla Niezależnej Grupy Teatralnej „EROFIRION”.

Nie pierwsza to poetka polska, której ojczyzna Verlaine'a i Baudelaire'a stworzyła szansę przygody artystycznej – i nie pierwszą raz:

*zauroczył mnie Paryż
nocnym rejsom po wodach Sekwany*

(...)

*z niekończącą się opowieścią
o wzgórzu Montmartre*

(...)

Wawel w garniturze od Pierre Cardin

(...)

*Kocham Pana Panie Kraków
wyszeptalam i zostałam wierna
tej miłości*

(moje dwie miłości)

Danuta Perier-Berska oddaje do rąk czytelnika tom wierszy – gdzie żywiołowa, ale mająca wewnętrzne rygory liryka zmusza do rewizji pojęć poetyckich i podważenia utartych schematów (każdy już od dzieciństwa nosi śmierć w sobie i każdy musi umrzeć swoją własną śmiercią). Okazuje się, że „Wychodzenie z raju” sekretnej nie jest sferą wzmoczonej wrażliwości (gdyż jest rzeczą oczywistą i że „świat znaczy więcej niżli znaczą słowa”, które winny przystawać do rzeczy, do własnych wzruszeń, do obrazu świata. Mówimy, że czas i tak zrobi swoje i że powinniśmy wziąć jakby głębszy oddech – jako egzystencjalną przypadłość natury ludzkiej...

Andrzej Gnarowski

Danuta Perier-Berska, „Wychodzenie z raju”. Krakowski Oddział ZLP, Kraków 2019.

Janusz Orlikowski

Ten „nasz” czas

lubię ten czas kiedy nic nie robię nie ma okien i drzwi przez które przechodzę a tylko otacza mnie przestrzeń niczym – upalny dotyk promieni

tylko dotyk i ciepło papużki nierozłączki na to wszystko co jest; bez tego co być może czy było – takie wieczne teraz czas schowany za pazuchę diabłu

a zatem: lubię kiedy nic nie robię bo wtedy tak naprawdę dzieją się rzeczy o których wcześniej byś nawet nie pomyślał niepotrzebnie czas skradliśmy Bogu

Zwykły spokój

bo to co nam potrzeba to zwykły spokój i uśmiech pomimo gdy zachodzi Konieczność nie w naszych gestach słowach czy myślach dzieje się życie dar który jest nam dany

nie my wiemy lepiej lecz On który nas przecież nigdy nie oszuka wszak nie jest to w Jego trwaniu... by połapał się w tym każdy – który wierzy

to co nam potrzeba to zwykła cisza i słuchanie Jego słów nawet gdy się ich nie słyszy

one są dotykają każdego z nas i nie obchodzi Go nasza głuchota

to co nam potrzeba to zwykły dzień On przecież zawsze o tym pamięta tylko nie warto Mu w tym przeszkadzać swoim nabrzmiałym Ja

coda:

aby usłyszeć trzeba Ją zobaczyć tak jak się widzi igłę w stogu siana lecz jest się pewnym że tam jest; to wystarczy

ROLNIK ZE WSI BUDY
W TYM ROKU WYSZEDŁ
NA SWOJE...



Rys. Sławomir Łuczyński

Filozofia codziennosci

prof. Marii
Szyszakowskiej (154)



Fot. Andrzej Dębkowski

Wspólnoty

Zastanawia mnie od dawna fakt gromadnych wyjazdów w lecie nad morze. Molo w Sopocie jest bardziej zatłoczone niż Nowy Świat, czy ulica Marszałkowska w Warszawie. Gwar rozmów i krzyk dzieci zagłusza szum morza. Denerwujący jest także widok osób wędrujących brzegiem morza z przyklejonym do ucha telefonem komórkowym. A trochę dalej, czy w mniej modnych miejscowościach, można oddawać się potędze morza w ciszy i w spokoju. Podobnie Kazimierz nad Wisłą. Zapewnia się w soboty i w niedziele tłumem warszawiaków, którym już nie chce się dotrzeć do leżących nieopodal innych malowniczych miejscowości. To snobizm skłania do takich wyborów. Podobnie warszawskie urokliwe zaułki jeszcze nie wyburzone, nie przyciągają w takiej mierze jak Stare Miasto.

Poczucie osamotnienia skłania do tego, by odpoczywać w tłumie. Nie odstaje się wtedy od innych i tworzy się przypadkowa wspólnota, a raczej zbiorowisko ludzi jednako odpoczywających.

Interesujące, że rozwój wyrazisty właściwości indywidualnych nie uwalnia od tej chęci choćby pozornego łączenia się z innymi. Odwrotnie. Im wyższy poziom rozwoju duchowego, zespolonego zawsze z pozytywnym nieprzystosowaniem do stereotypów i powszechnie funkcjonujących poglądów – tym większa pojawia się chęć, by chociaż na chwilę stać się elementem większej całości.

Poczucie odrębności, świadomość odróżniania się od ogółu, bywa chwilami trudne do zniesienia i ono wytwarza potrzebę choćby iluzorycznej wspólnoty, nawet zdawałoby się nieznaczącej, a mianowicie kawiarnianej. Znam poetę, który podobnie jak ja, po to, by tworzyć, wędruje do kawiarni, której jest stałym bywalcem. I tam, siedząc przy „swoim” stoliku, może pełniej i radośniej oddawać się tworzeniu. W domu, w ciszy, mimo spokoju narasta poczucie osamotnienia i odległości od strumienia życia.

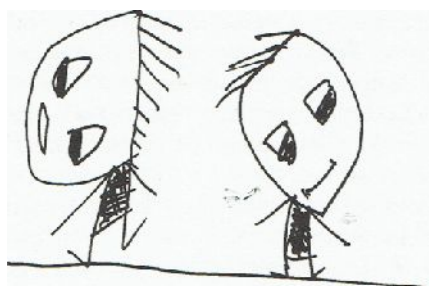
Pojęcie wspólnoty jest wieloznaczne. Bywają wspólnoty przypadkowe, które

przynoszą nam pozytywne doznania, ale także wyjątkowe. Taką szczególną wspólnotę, niepowtarzalną, można odnaleźć w przyjaźni. Miłość erotyczno-seksualna przynosi poczucie przenikalnej wspólnoty, niekoniecznie trwałej. Braterstwo, jako wspólnota, cementuje dążenia do osiągania wspólnie dzielanych ideałów.

Oczywiście, powszechnie występują wspólnoty oparte o więzy krwi, ale często nie można w nich odnaleźć duchowego porozumienia i aprobaty. Wspólnoty wyraźnie zaznaczają się w małych liczebnie wyznaniach religijnych. W takich wspólnotach zdarzają się ci, którzy żarliwie wierzą w Boga, jak i ci, którzy przyjmują jego istnienie powodowani lękiem przed śmiercią. Niedawno zetknęłam się ze szlachetną wspólnotą osób modlących się za dusze w czyśćcu. Tworzą ją wybrani katolicy mieszkający w rozmaitych miastach,

Najbardziej trwałe wspólnoty oparte są o dążenie do urzeczywistnienia określonego zespołu ideałów. Poważnie traktując politykę – a więc nie pojmując jej, co się słyszy i jest naganne, jako dążenia do zaspokojenia własnych interesów – wytwarzają się wspólnoty osób aprobujących i wyznających program określonej partii.

Bywają wspólnoty długotrwałe, jak również pozbawione tej cechy, bo na przykład wytworzone zewnętrznymi okolicznościami. Podam jako przykład wspólnoty w więzieniu, w obozach, czy wspólnoty osób, które znalazły się w granicznej sytuacji. Ten ostatni rodzaj wspólnoty opisał mistrzowsko Czesław Centkiewicz odwołując się do własnych doświadczeń na mroźniej Północy. Swoiste wspólnoty tworzą też mafie, czy grupy osób żyjące w slumsach. Nie do zapomnienia jest włoski film „Brudni, odrażający, źli”. Chęć zarazem powiedzieć, że jest wiele zjawisk w życiu człowieka, których nie powinno się oceniać z punktu widzenia dobra i zła. Inny słowy jest wiele zjawisk immoralnych, a do nich należy właśnie wspólnota.



Rys. Jan Stepień

Wspólnota przynosi poczucie bezpieczeństwa i wzmacnia siły żywotne człowieka.

Rozmaite są wspólnoty. Dzisiejsze, modne prądy prowadzą do likwidacji wspólnot, bowiem głoszą konkurencję, rywalizację, wartość sukcesu i tym samym rozbudzają egoizm. Ale człowiek nie jest istotą samowystarczalną. Dlatego też niezbędne są nam wspólnoty, które przynoszą nie tylko pomoc, ale także są jednym z warunków szczęścia. Braterstwo dochodzi do głosu we wspólnotach zarówno tych, które zwykło się oceniać pozytywnie, jak i tych, ocenianych w kategoriach negatywnych. Jest jedną z tych warto-

ści, które leżą poza granicami dobra i zła. Fryderyk Nietzsche dokonał przewrotu wykazując, że kategorie dobra i zła mają swoje granice i nie powinno się ich rozciągać na całość przejawów istnienia człowieka. Nie znaczy to, że w sferach nie podlegających ocenom moralnym, żyjemy w sposób z nimi sprzeczny. Znaczy to jedynie, że pewnych obszarów życia człowieka nie powinno się poddawać ocenom moralnym.

Braterstwo należy do sfery immoralnej, dochodzi do głosu wszak także wśród członków mafii, czy na przykład zaznaczało się w środowisku hitlerowców. A więc nie tylko wspólnoty oceniane dodatnio charakteryzują się braterstwem.

We wspólnotach religijnych używany jest często zwrot „bracia i siostry”, co ma na celu zbliżenie ze sobą tych, którzy tworzą wspólną organizację religijną. Braterstwo broni to określenie oczywiste i odnosi się do braterstwa w szczególnych warunkach jaką jest wojna.

Zdarza się często, że po ustaniu zewnętrznych okoliczności braterstwo zamiera. Przypuszczam, że braterstwo lat szkolnych też zanika. Moim zdaniem, face book jest wyrazem poszukiwań „bratnich dusz” przez osamotnione osoby, które w powrocie do szkolnych lat upatrują podstaw jakiejś wspólnoty.

Okoliczności, które skłaniają do poczucia braterstwa bywają przemijające. A wraz z nimi przemija to uczucie, które wzmacnia siły w trudnych okolicznościach. Braterstwo może się też wytwarzać w okolicznościach wolnych od jakichkolwiek zagrożeń. Na przykład braterstwo – a więc wartość wyższa od koleżeństwa – może się też zrodzić wśród osób pragnących zabawy. Człowiek dorosły jest „podszyty dzieckiem”, jak to określa Gombrowicz. To wyjaśnia potrzebę zabawy często tłumioną przez obyczaje nakazujące dorosłość i należytą powagę. Ale zdarza się, że osoby wyzwolone od nacisków tego, co wypada, tworzą braterstwo oparte o chęć radośnie spędzanych godzin. Braterstwo w bawieniu się może pełnić znaczącą rolę w życiu człowieka.

Różnymi się dalece właściwościami indywidualnymi. Ale im bardziej odstawiamy od ogółu, tym większą potrzebą staje się braterstwo z innymi. Wzmacnia ono siły vitalne i przynosi stan wewnętrznej harmonii. Ta płaszczyzna życia bywa bagatelizowana i uznawana za mało poważną w obliczu codziennych powinności. Ale umiejętność życia polega na tym, by z tych powinności się wyrwać i tworzyć wraz z wybranym kręgiem osób inną płaszczyznę.

Łatwiej jest określić czym nie jest braterstwo niż ściśle je zdefiniować. Otóż sprzeczna z braterstwem jest nielojalność, niesłowność, nieszczerłość, tworzenie pozorów, „nakładanie masek”, obgadywanie, nie udzielanie pomocy, poczucie, że jest się lepszym od kogoś, czy filantropia, zalecana obecnie – a wyśmiana przez Prusa w „Lalce”.

cdn.

Maria Szyszakowska

Moja walka z rakiem

(1)

Do 70. roku życia poważnych problemów zdrowotnych nie miałem, nie licząc nabytej jeszcze w czasach młodości dyskopatii. I tylko z tego powodu kilkakrotnie zaliczyłem różne sanatoria, a nawet przez miesiąc przebywałem w szpitalu uzdrowiskowym, gdyż zdarzyła mi się w roku 1985 rwa kulszowa. Kiedy jednak przekroczyłem siedemdziesiątkę, problemy zaczęły się na dobre. Najpierw wyszedł zbyt wysoki cholesterol. Musiałem stale łykać tabletki: apo-love, którą zamieniłem po pewnym czasie na apo-simve. Cholesterol się ustabilizował. Dwa lata później albo trzy pojawiły się kolejne dolegliwości. Mówiłem o wszystkim mojemu lekarzowi rodzinnemu Zbigniewowi B., który sobie wszystko lekcewazył i banalizował.

– Niech pan sobie nie wprawia chorób. Nie widzę potrzeby robienia żadnych badań. Jeśli pana to ciekawi, proszę sobie robić badania prywatnie, ja panu wyniki odczytam – odpowiedział łaskawie.

Machnąłem ręką i nadal się męczyłem z moimi dolegliwościami. Każdą wizytę Zbigniew B. ograniczał tylko do przepisania recepty na stabilizację poziomu cholesterolu. W końcu, nie mając innego wyjścia, wymusiłem na nim, aby zlecił mi także badanie krwi, bo dowiedziałem się, że powinien mi to zrobić przynajmniej raz w roku, rutynowo. Dał mi wreszcie skierowanie. Następnego dnia poszedłem do laboratorium analitycznego zrobić badania. No i wyszło szydło z worka: miałem wysoki poziom cukru, ponad 200 jednostek. Zbigniew B., jakby się przestraszył i skierował mnie też do diabetologa do szpitala, ale na wizytę, niestety, musiałem czekać pół roku. Od co najmniej dwóch lat miałem obstrukcję. I żadne domowe sposoby na to nie pomagały, picie wody czy maślanki lub kefiru itp. Odważyłem się znów pójść i powiedzieć:

– Panie doktorze, proszę mi przepisać lekarstwo na obniżenie poziomu cukru, bo naprawdę źle się czuję. Sądzę, że obstrukcja, trwająca co najmniej od dwóch lat, jest spowodowana cukrzycą. A diabetolog nie wiem, kiedy mnie przyjmie.

Zbigniew B. dał mi w końcu receptę na zakup metformaksu. Tabletki miałem zażywać 3 razy dziennie, po każdym posiłku. Od razu poczułem się lepiej. W końcu zacząłem się regularnie wypróżniać. Nie zmieniłem zatem lekarza rodzinnego, choć ten i ów radził mi dobrze, bym to zrobił, bo Zbigniew B. ma złą opinię wśród pacjentów. Może to był tylko jego błąd – pomyślałem sobie – a nie zła wola?

– Nie widzi pan, że niewielu ludzi do niego chodzi – tłumaczył mi ten i ów.

No tak, pomyślałem, to prawda, ale za to nie muszę czekać w kolejkach, przychodzę i jestem od razu załatwiony, a recepta wypisana, ciągle wierząc, że jego pomoc będzie mi potrzebna tylko wtedy, gdy skończą się

lekarstwa. – I tak trwało to znów jakiś czas. Ograniczałem się zawsze do prośby o przepisanie mi recepty. Tylko o tyle. On zaś o nic nie pytał. Robił to rutynowo i nie pytał o więcej. Żadnych badań.

Któregoś dnia w nocy mam problem z oddaniem moczu. Ból niesamowity. Nie wiem, co się dzieje. Jestem pełen najgorszych myśli. Ale w końcu w nocy po 2.00 wydostaje się ze mnie krew. Może to rak? – myślę. Następnego dnia zapisuję się do Zbigniewa B. na wizytę. Z tym nie ma trudności. Kolejek jak zwykle nie ma. Przyjmuje mnie raz dwa, a ja mu opowiadam o wszystkim, jak było w nocy, sam z własnej woli. Mówię też o moich obawach. Zbigniew B. spogląda na mnie i z pewną miną odpowiada:

– To z nerek wydostał się piasek i poranił drogi moczowe. Dlatego z moczem wydostawała się krew. Ale jest wszystko w porządku. Zaraz zapiszę lekarstwo, fitolizynę, pochodzenia roślinnego, którą przeczyszcisz panu nerkę. Będzie pan pił ją rozcieńczoną w szklance wody trzy razy dziennie.

Uwierzyłem tej diagnozie, powiem nawet, że się uspokoiłem. Uwierzyłem, że nie jestem chory. Choć powtarzało się to w odstępach czasu kilka razy. Zbigniew B., gdy go o tym informowałem, zawsze odpowiadał tak samo i zapisywał mi znów w tubce fitolizynę, którą rozpuszczałem w szklance wody i wypijałem. Trwało to chyba 2-3 lata. Na początku grudnia miałem wizytę u diabetologa i żona namawiała mnie, żebym mu o tym powiedział, bo przeczytała artykuł w miesięczniku „Zdrowie”, gdzie wyraźnie napisano jak byk, że krew w moczu znamionuje poważną chorobę, a nie – jak twierdził Zbigniew B. – schodzenie piasku z nerek. Dałem się w końcu żonie przekonać, choć wiedziałem, że moje problemy nie są związane z cukrzycą.

Na początku grudnia miałem wyznaczoną wizytę u mojego diabetologa, dr. Steca, w naszym powiatowym szpitalu. Była to rutynowa wizyta, któraś z kolei. Leczyłem się u diabetologa już co najmniej od 2 lat. Jak zwykle było ważenie, sprawdzanie poziomu cukru, wagi. Jakie lekarstwo biorę, by ustabilizować poziom cukru we krwi. Ale po zważeniu dr S. powiedział, że 8 kilogramowy spadek wagi w ciągu roku to nie jest rzecz normalna. I pyta mnie, co na to lekarz rodzinny?

– Twierdzi, że to działanie metformaksu. Chwalił się nawet do mnie, że przychodzą do niego młode panie, które chcą, by przepisał im to lekarstwo, bo chcą schudnąć.

– To nie metformax, proszę pana. Dlatego będzie pan zażywał na cukrzycę inne lekarstwo, glucophage 1000, 1 tabletkę dziennie, wieczorem, po posiłkach.

No a potem dalsze pytania o problemy. No to mówię doktorowi Stecowi, że mam w moczu krew.

– Od kiedy? – pyta lekarz.

– No, co najmniej od 2 lat.

– A mówił pan o tym lekarzowi rodzinnemu?

– Oczywiście, odpowiadam, ale doktor Zbigniew B. uznał to za rzecz mało ważną, spowodowaną schodzeniem piasku z nerek. I dał mi na to jako lekarstwo preparat roślinny w tubce, fitolizynę.

– I co pomogło? – pyta diabetolog.

– Jakiś czas krew ustąpiła z moczu, ale to się powtórzyło już kilka razy.

– I co na to lekarz rodzinny? – dopytuje mnie dr S.

– Znów mi dał ten sam lek roślinny na przeczyszczenie nerek.

– Proszę pana, to jest poważna sprawa – mówi wreszcie diabetolog. – Daję panu skierowanie na badanie krwi oraz moczu oraz na USG. I proszę przyjąć do mnie, gdy będzie miał pan już wyniki. Oniemiałem z wrażenia. To jednak poważna sprawa. Jakoś udało mi się szybko uporać z badaniami. W połowie grudnia zaglądam do gabinetu mego specjalisty z wynikiem USG, bo laboratorium analityczne wyniki krwi i moczu przesyła same.

– Proszę pana, daję panu skierowanie do urologa. Jak się pan zarejestruje, to proszę przyjść i powiedzieć. A przy okazji niech pan zmieni lekarza rodzinnego. Radzę panu grzecznie.

W rejestracji dają mi termin wizyty u urologa na 27 maja. Przychodzę z tą wiadomością do dr. S., diabetologa.

– Nie może pan tak długo czekać. Skoro tak, kieruję pana do szpitala. Proszę iść z tym skierowaniem do dyżurnego lekarza, przyjmującego na oddziale chirurgicznym. On ustali, kiedy pana przyjmą na oddział.

Z doktorem K. ustalamy termin przyjęcia mnie na oddział szpitalny z początkiem roku. Już wiem, że nie jest ze mną dobrze. To nie żaden piasek na nerkach, jak sugerował to lekarz rodzinny bez żadnych badań, ale zmiany, prawdopodobnie nowotworowe, na pęcherzu moczowym. Na szczęście jestem już w dobrych rękach. Wychodzę ze szpitala z głową spuszczoną, ale pełen nadziei. Święta niestety mam już zepsute.

W domu kseruję opis z USG, na którym pisze o zmianach na moim pęcherzu moczowym, by dać także Zbigniewowi B. Mówię do dr. S.: – Chcę, aby lekarz rodzinny mógł się uczyć na swoich błędach. Może następnym razem na słowo krew w moczu, nie będzie aplikował fitolizyny, ale zajmie się prawdziwą diagnozą. – Następnego dnia udaję się do B. do przychodni, bo nie mam już lekarstw, a przy okazji podaję mu kserokopię opisu USG. Dodaję jeszcze: – Jest inaczej niż pan mówił. – B. wzięł kartkę do ręki, popatrzył i potem złożył w zworro i włożył do zeszytu. Nie odezwał się nawet słowem.

Mirosław Osowski



Rys. Sławomir Łuczyński

POEZJA

Cezary Maciej Dąbrowski, *Zbiór nieaspirujący*. Kompozycja książki, projekt okładki i strony tytułowej: Cezary Maciej Dąbrowski. Opracowanie graficzne: Mikołaj Jastrzębski. Na okładce wykorzystano fotografie autorstwa Cezarego Macieja Dąbrowskiego. Wydawnictwo LTW, Łomianki 2019, s. 110.

Bolesław Faron, *Poeci Sądecczyzny. Antologia*. Opracowanie redakcyjne: Iwona Dudzińska. Obraz na okładce: Władysław Bartek Talarczyk, *Osty*. Fot. wykonał: Waclaw Abramowski. Opracowanie typograficzne: Dariusz Piskulak. Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2019, s. 284.

Aleksandra Fidziańska, *Zwierciadło czasu*. Redakcja: Rafał Orlewski. Projekt okładki: Aleksandra Fidziańska i Witold Stawski. Grafika: okładki: Aleksandra Fidziańska. Wydawca: Nauczycielskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe NASTOK, Piotrków Trybunalski 2019, s. 112.

Magdalena Kapuścińska, *Aneks do rzeczywistości*. Redakcja: Kalina Izabela Ziota. Korekta Rafał Kasprzyk. Projekt okładki: Oskar Kapuściński. Na okładce wykorzystano zdjęcie Michała Kapuścińskiego. Wydawnictwo Autorskie Magdalena Kapuścińska, Wieluń 2019, s. 76.

Małgorzata Kulisiewicz, *Ciasteczka z ironią*. Opracowanie graficzne: Barbara Jurkowska, Biblioteka Poezji Dzisiaj, Wydawnictwo Książkowe IBIS, Warszawa 2019, s. 68.

Andrzej Kopacki, *Inne kaprysy*. Zdjęcie autora: Renata Dąbrowska. Obraz na okładce: Tomasz Bohajedyn. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Forma 21*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Szczecin, Bezzrecze 2019, s. 80.

Martyna Piotrowska, *Spadać można równie dobrze w poziomie*. Autorka grafiki wykorzystanej na okładce: Martyna Piotrowska. Mamiko Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda 2019, s. 30.

Czesław Mirosław Szczepaniak, *Zabrałem milczenie, słowo daję*. Projekt okładki Paweł Piotr Szczepaniak. Opracowanie typograficzne Andrzej Tomaszewski. Wydawnictwo MaMiKo Nowa Ruda 2019, s. 116.

Barbara Tylman, *Najwyższy czas*. Wydawca: Media-Expo Wawrzyniec Wierzejewski, Poznań 2019, s. 52.

Maria Wardzichowska-Woźniak, *Przeźroczystość*. Redakcja: Helena Górńska. Projekt okładki: Ksawery F. Szyszkowicz. Fotografia – ze zbiorów autorki. Oficyna Wydawnicza VARIA, Łódź 2017, s. 90.

Andrzej Wasilewski, *Jestem i*. Przekład: Andrzej Wasilewski. Postowie: Alain Badiou. Przekład postówia: Andrzej Wasilewski. Zdjęcie autora: Magdalena Wójtowicz. Grafika na okładce i w książce: Piotr Pasiewicz. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Szesnaście i pół*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin, Bezzrecze 2019, s. 38.

PROZA

Jurij Andrichowicz, *Kochankowie Justycji*. *Powieść parahistoryczna w ośmiu i poi odcinkach*. Przełożyły: Ola Hnatiuk i Katarzyna Kotyńska. Projekt graficzny: Maria Bukowska | Studio temperówka. Wrocławskie Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2019, s. 246.

Jarosław Błahy, *Rzeźnik z Niebuszewa*. Zdjęcie autora, zdjęcia na okładce i w książce: Robert Wawryniuk. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Dom Kultury 13 Muz, Szczecin, Bezzrecze 2019, s. 98.

Gerald Durrell, *Moja rodzina i inne zwierzęta*. *Trylogia z Korfu*. Tom I. Przełożyła: Anna Przedpeńska-Trzeciakowska. Projekt okładki: Witold Siemaszkiewicz. Ilustracja na okładce: Trina Dalziel / Ikon Images / Getry Images. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2019, s. 296.

Marek Hłasko, *Pierwszy krok w chmurach*. *Opowiadania*. Projekt graficzny: Andrzej Barecki. Zdjęcie na okładce: Jerzy Woropiński. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2019, s. 272.

Anna Mazurek, *Dziwka*. Projekt okładki: Bolesław Chromy. Projekt typograficzny: By Mouse | www.bymouse.pl. Korporacja Ha!art, Kraków 2019, s. 360.

Jakub Michalczewski, *Gigusie*. Projekt okładki: Bolesław Chromy. Projekt typograficzny: By Mouse | www.bymouse.pl. Korporacja Ha!art, Kraków 2019, s. 256.

Grzegorz Musiał, *Ja, Tamara*. Projekt okładki: Waldemar Kakareko. Oficyna Wydawnicza Epigram, Bydgoszcz 2019, s. 790.

Napitki & Literatura. Antologia opowiadań holenderskich i flamandzkich. Pod redakcją Barbary Kalii i Bożeny Czarneckiej. Przełożyły: Barbara Kalia, Bożena Czarnecka i Ewa Dynarowicz. Projekt okładki: Michalina Mosurek. Projekt typograficzny: Marin Hernas. Korporacja Ha!art, Kraków 2019, s. 424.

Piotr Prokopiak, *Autystyczny las*. *Wybór tekstów prozatorskich z lat 2013-2019*. Redakcja: Krystyna Mazur. Korekta: Iwona Gajewska-Tranbownicz. Ilustracja na okładce: Waclaw Smoleń. Zdjęcie autora na okładce: Marcin Wilk. Wydawca: Samorządowa Agencja Promocji i Kultury w Szczecinku, Szczecinek 2019, s. 52.

Jean-Christophe Rufin, *Podróże króla Madagaskaru*. Przełożyła: Anna Michalska. Projekt okładki: Tomasz Lec. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2019, s. 288.

Karol Samsel, *Autodafe 2*. Zdjęcie autora: Łukasz Szymański. Obraz na okładce: Tomasz Bohajedyn. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *Forma 21*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Szczecin, Bezzrecze 2019, s. 48.

Barbara Tylman, *Opowiadania*. Wydawca: Media-Expo Wawrzyniec Wierzejewski, Poznań 2019, s. 112.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Bożena Iliev, *W bałkańskim kociołku*. *Opowieść o Bułgarii*. Redakcja i korekta: Redaktor prowadzący: Justyna Małas. Redakcja i korekta: Janina Małas. Fotografie: Bożena Iliev, Ventsi Staykov – Rodopy, Bułgarskie Archiwum Państwowe, Domena publiczna, Shutterstock.com. Opracowanie graficzne: Michał Mierzejewski. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2019, s. 256.

Paweł Kardasz, *Safari*. *Zapiski przewodnika karawan*. Redakcja: Edyta Urbanowicz. Mapy: Agnieszka Rajczak-Cieplowski. Dobór i opracowanie zdjęć: Łukasz Cieplowski. Kierownictwo artystyczne i merytoryczne: Wojciech Cejrowski. Zdjęcia: Paweł Kardasz. Opracowanie plastyczne oraz plastyczny kształt serii „Biblioteka Poznaj Świat”: Wojciech Cejrowski Sp. z o.o. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2019, s. 374.

Wolfgang Amadeusz Mozart. Wybór listów. Wybór, przekład, opracowanie naukowe, kalendarium: Ireneusz Dembowski. Projekt okładki i stron tytułowych: Lidia Michalak-Mirońska. Zdjęcie na okładce: *De Agostini / Indigo Images (list)*, *Biblioteka Kongresu USA (reprodukcja)*. Graficzny ozdobnik w środku książki: neyro2008/123 RF. Wydawca: *Dąbrowka Gujska*. Redaktor prowadząca: Barbara Surówka. Redakcja językowa: Olga Górczyca-Popławska. Korekta: Paweł Wielopolski. Indeks: Łukasz Halida. Projekt graficzny wnętrza: Maria Czekaj. Wydawnictwo naukowe PWN SA, Warszawa 2019, s. 670.



Rys. Barbara Medajska

* * *

W „Tygodniku Powszechnym” (numer 35/2019) doskonali wywiad Michała Okońskiego w Lechem Janerką:

(...)

Michał Okoński: – Miałem zapytać o przepis na bycie legendą i ikoną wolności, a Pan tu dowcipy opowiada.

Lech Janerka: – Wie pan, ja nie wiem, jak się to wszystko mogło udać. Pamiętam taki film z Bradem Pittem, który grał cygańskiego boksera. Przemyt diamentów, próbują go zabić, a w końcu wystawiają do walki. Koleś jest cały czas w trupa pijany, leją mu wodę na łeb, on nic nie kuma, a zakłady są takie, że ma walkę przegrać. Wychodzi na ring, gdzie czeka jakiś straszliwy potwór, i ze strachu wali tak, że ten potwór leży. Mina tego Brada Pitta, do którego nie dociera to, co się stało, jest właśnie tą miną, którą miałem po sukcesie Klausa Mitffocha. Bawiliśmy się po piwnicach, nagraliśmy singla i nagle recenzje, peany... Nic z tego nie rozumiałem. „Jezu, jak się cieszę” było na pierwszym miejscu Listy Przebojów Trójki, a „Tea in the Sahara” Police, które uważałem za arcydzieło, na siódmym. Jak się o tym dowiedziałem, to z kolei radio wyrzuciłem przez okno. Infantylny jestem, nie?

– A gdyby Pan miał odpowiedzieć poważnie?

– Ludzi traktowaliśmy serio. Uczciwi byliśmy. Nie łapaliśmy się na peany. I robiliśmy swoje: nie znaliśmy kontekstów, bo nie słuchaliśmy innej muzyki. Ja tylko Beatlesów w kółko sobie puszczałem, ale miałem poczucie, że są nieadekwatni do moich czasów i mojego życia. Że nasze czasy są zgrzytliwe, więc trzeba grać i śpiewać zgrzytliwie.

– Zapytałem parę osób, o co by Pana na moim miejscu zapytały. Pablopavo powiedział właśnie: o Beatlesów.

– Zna pan „All Together Now”? Bom, bom, bom, pompa, bom, taki knajpiano-barowy syf? McCartney powiedział, że na napisanie tego i „Yesterday” poświęcił dokładnie tyle samo energii i wiedzy. Że nie widzi między tymi numerami żadnej różnicy. Dopóki za nim stał Lennon i kopał go w dupę, jak usłyszał kichę, to McCartney robił rzeczy w większości genialne – podobnie zresztą Lennon kopany przez McCartneya. W ich solowych karierach jest mnóstwo banałów, które w Beatlesach by na płytę nie weszły, bo kumple by nie dopuścili.

– Dla Pana takim kumplem jest żona?

– Ona nie komponuje. Dziwne, bo napisała parę wionolczel w naszych kawałkach, ale chyba jej to specjalnie nie kręci. Raz zmieniłem tekst pod jej wpływem. Mówiłem, że jest osobą zrównoważoną i nie lubi agresji? W jednej piosence Klaus chciał śpiewać o jakiejś nieapetycznej rzezi. „Nie chcę tego słuchać – powiedziała – i ludzie też nie powinni”.

W „Ogniwych strzelbach” gitarzysta z kolei chciał zmienić tekst. Bał się, że coś nie przejdzie, nie puszcza w radiu. Wolałem sam zmienić.

– Wyszedł hymn pokolenia.

– Szumne słowa. „Nie płacz, Ewka”, „Jolka, Jolka”, „Przeżyj to sam” to były hymny pokolenia.

– Nie czuje się Pan odpowiedzialny za wybory i postawy, no dobrze: części tego pokolenia?

– Wtedy uważałem, że jestem częścią czegoś większego. Że społeczeństwo jest, jak mówi młodzież, „wporzo”. Zmieniło mi się, jak Wałęsa wygrał wybory, a po drodze Tymiński okazał się lepszy od Mazowieckiego. Uznałem, że ludzie są inni, niż sobie wyobrażałem.

Wczoraj skończyłem czytać „Homo deus” Karanego i wiele rzeczy mi wskoczyło na swoje miejsce. Zawsze sporo zrzuciłem na karb biochemii, no a Harari opisuje właśnie biochemię i mówi, że ludzkie życie to algorytm. Żyjemy. Podtrzymujemy życie. Bez jakichś szlachetnych uniesień. Chcemy przeżyć.

– Nie chcemy przeżyć sensownie?

– Sens nie ma sensu.

– No to po co się Pan samoporzadkuje?

– Chaos i entropia powodują, że nie byłbym w stanie inaczej. Wywieram więc presję na tę swoją galarete, która chciałaby tylko leżeć jak u tego Borgesa. Do podobnych wniosków doszedł Houellebecq w „Możliwość wyspy”.

– Kiepsko to wygląda.

– Toteż u Houellebecq gość odcina rurki i idzie się zabić. Harari uważa, że słowo „przetrwanie” za chwilę przestanie dotyczyć ludzi. Ważna jest nie świadomość, tylko inteligencja. Algorytmy i informacje.

– Ciało? Dusza?

– Ja nie czuję czegoś takiego jak dusza. Ciało? Przez wiele lat też go nie czułem. Pomijałem je (...)

Rozdeptywanie krajobrazu

Przestrzeń jest większa niż mi się wydawało przez okno. Może perspektywę rozmyły wypłowiawe witraże, przedstawiające niezliczoną ilość: świętych sadowników zrywających jabłka, pastuszków pilnujących stada, oraczy wpatrzonych w skibę. A przecież na sąsiednią działkę upadł lkar, zajmując poczesne miejsce w historii sztuki. Tylko koń przystrzyżył uszy, czuły na świst powietrza. Niebo było piękne jak z obrazów Breughla, który się dopiero urodził. Lekki wietrzyk faluje trawy.

Za wzgórzem unosi się dym palonej poezji Claire i Zwana Gollów. Cimetière du Père-Lachaise, Euterpe wpatrzona w bólu na skromny grób u stóp okazałego grobowca Chopina.

Jutrznia szmerem brewiarza budzi dzień, oby słońce wiodło pątników.

Czytam wywiad z Claude Lelouchem. Widzę dwojga spacerujący wśród zieleni, to: „kobieta i mężczyzna”. Ja ich znam... Kinga kiedyś była pielęgniarką. Dziś zabawka wszystkich Romeów o imieniu Kazik, Teodor, Wasyl. Wziął ją za rękę, w drugiej trzyma „malinówkę”. Spacer zakończy się jak poprzednie podbitym okiem dziewczyny.

Claude Lelouch wierzy, że pewnego dnia wszystko ułoży się cudownie. W jego wieku powinien zrozumieć, że życie to nie film.

Chmura zaciemniła niebo. Grad uderza lodowymi kulkami o szybę. Zamykam opasy brulion dziennika. Jutro znów jak każdego dnia będę notował skrupulatnie.

Jerzy Stasiewicz



Rys. Barbara Medajska

Gazeta Kulturalna
Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębkowski**.

Współpraca: Józef Baran, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.